

Nr 6 (157) – B Rok 27

Listopad-Grudzień 2020



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляннi з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляннi з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Dejneka, Ryszard Frączek, ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczyk, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Razem z czasopismem ukazuje się seria książkowa Biblioteka „Wołania z Wołynia”.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Oddział redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:

Stow. Ośrodek “Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T code: POLUPLPR

~ ~ ~

Jesteśmy w Facebook’u:

«**Wołanie z Wołynia**

– **Воляннi з Волині**»

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

«**Sursum corda**»

<http://www.facebook.com/Sursum-corda-254753281236024/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-9: Nela SZPYCZKO, Anastazja PODLUK, *Ostatnia wizytacja biskupa Jana Niemca*
- s. 10-11: *Комюніке Конференції Єпископів Римсько-Католицької Церкви в Україні*
- s. 12-13: Aleksandra PIETRYGA, *Każdy ją uwielbiał*
- s. 14-18: Ks. Edward WALEWANDER, *Roman Dzwonkowski SAC. Kustosz pamięci Polaków na «nie ludzkiej ziemi»*
- s. 19: Krzysztof KOZŁOWSKI, *Zmarł Kazimierz Bogucki*
- s. 20: Teresa ŁUKASZEK, *Wybrane homilie i nauki o. Leona Nowaka TJ dotyczące Eucharystii*
- s. 21-30: O. Jan NOWAK TJ, *Wybrane homilie i nauki dotyczące Eucharystii*
- s. 31-32: *Пастирське послання з нагоди 100 річнниці від початку абортивного геноциду ненароджених дітей*
- s. 33-36: Микола МАНЬКО, Рафаїл ШПІЗЕЛЬ, *Сіоністський рух в Острозі у міжвоєнні двадцятиріччя (1920-30 рр.)*
- s. 37-39: *Послання Єпископів Римсько-Католицької Церкви в Україні з нагоди Свята Святого Сімейства, 27 грудня 2020 року*
- s. 40-43: Ірина БАКОВЕЦЬКА, *Шпилі костелів з туману небуття*
- s. 44-71: Ułás SAMCZUK, „*Wołyń. Powieść w trzech tomach*”, t. II: „*Wojna i rewolucja*”, „*Wojna III*”
- s. 72-74: Ks. Edward WALEWANDER, *«Błogosławiona wieś». Pamiętnik matki*
- s. 75-77: Marcin HAŁAŚ, *Nóż w plecy w Łucku*
- s. 78-79: Jana DEMIAŃCZUK, *Trójjęzyczność ukraińsko-rosyjsko-polska Ukraińców niepolskiego pochodzenia*
- s. 80: Grażyna ŻYCKA, *90 lat, to sygnał by związać kram? Zmarł ksiądz Bronisław Charyton*

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2020 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej dostępne są m.in. pod adresami:
http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/
<http://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmię dziękujemy za pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma Śląskiej Bibliotece Cyfrowej:
<https://www.sbc.org.pl/>
 Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy.
 Redakcja «Wołania z Wołynia»”



Projekt jest finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą.
 Projekt Fundacji Wolność i Demokracja „Polska Platforma Medialna”

Życia Kościoła - з життя Церкви

OSTATNIA WIZYTACJA BISKUPA JANA NIEMCA



Śp. ksiądz biskup Jan Niemiec

Fot. Archiwum

«Ciężko było pogodzić się z myślą, że ksiądz biskup nie żyje. Gdy byliśmy na pogrzebie w Polsce, w jego rodzinnym mieście, wydawało mi się, że on jest cały czas obecny. Wydaje mi się, że choć jego ciało odeszło, to jego duch pozostaje z nami».
bp Leon Dubrawski,
ordynariusz diecezji
kamieniecko-podolskiej

27 października w szpitalu w Łańcutu w wieku 62 lat zmarł jego ekscelencja biskup pomocniczy diecezji kamieniecko-podolskiej Jan Niemiec. Uroczystości po-

grzebne rozpoczęły się w Polsce, w Dobrzechowie na Podkarpaciu – w mieście rodzinnym śp. biskupa. Dziesiątki kapłanów i wiernych świeckich zarówno z Polski, jak i z Ukrainy zgromadziło się w kościele pw. św. Stanisława biskupa i męczennika. Na początku celebracji ordynariusz rzeszowski bp Jan Wątroba odczytał list od papieża Franciszka. Następca świętego Piotra wyraził w nim wdzięczność Bogu za życie i posługę Jana Niemca, który był wiernym świadkiem Ewangelii. Wyrazy współczucia i pamięci przekazali także sekretarz stanu kardynał Pietro Parolin oraz ksiądz arcybiskup nun-

cjusz Salvatore Pennacchio. Mszy świętej przewodniczył Leon Dubrawski, ordynariusz diecezji kamieniecko-podolskiej, w której biskup Jan pełnił swoją posługę kapłańską i z którą był duchowo związany. Homilię wygłosił arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski. Po zakończeniu liturgii niektórzy ze zgromadzonych podzielili się wspomnieniami o biskupie Janie Niemcu. Mowy pożegnalne wygłosili biskupi, księża oraz przedstawiciele władzy państwowej. I tak biskup Leon Dubrawski w imieniu swoim, wszystkich księży, a także świeckich z diecezji kamieniecko-podolskiej, prosił ekscelencję Jana o darowanie przewinień, których nawet nieświadomie mogli się dopuścić względem niego.

Ksiądz Piotr Gnat wspominał natomiast o hojności śp. biskupa, który w 2011 roku przekazał rodzinny dom w KozłóWKu Fundacji na Rzecz Wszechstronnego Rozwoju Dzieci i Młodzieży „Troska”. Z kolei Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Winnicy Damian Ciarczyński przekazał kondolencje od sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Szymona Szynkowskiego vel Sęka. Zebrani dziękowali Bogu za dar osoby i powołania zmarłego, a także wyrażali pewność, że szybko zostanie on zaliczony w poczet błogosławionych oraz świętych i będzie wstawał się za nami u Pana. Na zakończenie uroczystości została odmówiona Koronka do Miłosierdzia Bożego. Jak bowiem podkreślał biskup ordynariusz Leon Dubrawski, biskup Niemiec w sposób szczególnie czcił tę modlitwę i świętą Faustynę Kowalską.

Planowano, że biskup Jan Niemiec zostanie pochowany na cmentarzu parafialnym w Dobrzechowie, w grobowcu rodzinnym. Jednak jego współpracownicy – ordynariusz diecezji kamieniecko-podolskiej Leon Dubrawski i biskup pomoc-

niczy Radosław Zmitrowicz – starali się o to, by ciało ekscelencji Jana spoczęło w Katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kamieńcu Podolskim. Dzięki temu biskup Niemiec miał niejako wrócić do miejsca, w którym pełnił posługę kapłańską. Kiedy wreszcie otrzymano wszystkie potrzebne zezwolenia, 6 listopada rano, po odmówieniu Koronki do Miłosierdzia Bożego i modlitwy różańcowej, kondukt z ciałem wyruszył z Dobrzechowa na Ukrainę. Przez całą drogę przy trumnie przebywał biskup Zmitrowicz. Kondukt, zanim dotarł do Kamieńca, zatrzymał się również w Chmielnickim, w Szaróweczce oraz w Gródku Podolskim, tak aby wszyscy wierni mogli po raz ostatni spotkać się ze swoim pasterzem. *«Dzwoniłem do jego siostry-bliźniaczki, mówiłem, że dzisiaj będzie msza w Chmielnickim, a jutro w Gródku, a ona stwierdziła, że jest to jego ostatnia wizytacja»* – powiedział biskup Radosław Zmitrowicz.

Kondukt przybył do Chmielnickiego tego samego dnia – 6 listopada. O godzinie 18.00 trumnę wniesiono do kościoła pw. Chrystusa Króla Wszechświata, po czym odbyła się msza święta pogrzebowa. Przewodniczył jej biskup Zmitrowicz. Mimo restrykcji związanych z sytuacją epidemiczną, świątynia była wypełniona wiernymi – zarówno świeckimi, jak i duchownymi – chcącymi uczcić pamięć zmarłego. Ci zaś, którzy nie mieli możliwości przybyć do kościoła, mogli uczestniczyć duchowo w Mszy św., oglądając jej transmisję online.

Na początku celebracji proboszcz chmielnickiej parafii Mikołaj Łuczyński zaznaczył: *«Choć biskup Jan doznał już śmierci, to jednak znowu i znowu gromadzi nas, chce nam jeszcze raz głosić Boże słowo»*. Z kolei w wywiadzie dla lokalnej telewizji ksiądz Łuczyński stwierdził,

iz śp. Biskup Jan Niemiec pragnął zanieść Boga do każdego serca.

Homilię żalobną wygłosił biskup Radosław Zmitrowicz. Jego ekscelencja podzielił się bardzo intymnymi wspomnieniami o swoim zmarłym współbracie, mówił także o jego postawie wobec własnej choroby. *«Człowiek jest wolny, gdy cierpienie nie ma nad nim władzy»* – powiedział biskup Zmitrowicz. – *«Biskup Jan rozumiał, że cierpienie to coś bardzo cennego. Nie przeczytał tego w książkach, ale doświadczył osobiście»*. Cierpienie stało się dla biskupa Jana Niemca formą modlitwy. Wiedział bowiem, że przyjęcie własnego krzyża, który zsyła Pan, jest drogą do szczęścia i świętości. Niejednokrotnie nauczał, iż bardziej cierpi ten, kto odrzuca swój krzyż, aniżeli ten, kto, dźwigając go, upodabnia się do Chrystusa.

«Przyjęcie swojego krzyża nie jest rzeczą łatwą» – zauważył biskup Zmitrowicz podczas homilii. – Biskup Jan przyjął swój krzyż pokornie. Owa pokora wynikała z jego największego pragnienia – bardziej niż powrotu do zdrowia pragnął bowiem świętości. Ośmielę się rzec, że on umierał w świętości – wyznał biskup Zmitrowicz oraz dodał, że również profesor, który opiekował się biskupem Janem Niemcem w polskim szpitalu, dostrzegł w nim świętego. Po zakończeniu mszy świętej wyświetlono film o życiu i posłudze biskupa Jana. Wszyscy wierni mieli także okazję podzielić się własnymi wspomnieniami o zmarłym pasterzu oraz dać świadectwo wyjątkowości jego osoby. Trumna z ciałem jego ekscelencji pozostała w Chmielnickim jeszcze przez dobę, aby jak najwięcej parafian zdążyło pożegnać się z biskupem. Dla uczestników celebracji oraz wszystkich innych wiernych przygotowano także pamiątki – ulotki ze zdjęciem Jana Niemca, jego krótką biografią oraz słowami, które wypowiedział



Przystanek w parafii pw. Św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Gródku Podolskim
Fot. Archiwum

w ostatnich godzinach przed odejściem:

*«Skruszone serce.
Ufna i dziecięca uległość OJCU.
Kocham.
Godzina miłosierdzia.
Jezu ufam Tobie.
Dziś też przyjąłem Komunię.
Moc modlitwy.
Pod Twoją Obronę.
Błogosławię»*.

7 listopada kondukt wyruszył w dalszą drogę. Kolejnym przystankiem była parafia pw. Matki Bożej Różańcowej w Szaróweccze. W tamtej miejscowości powstaje obecnie nowe wyższe seminarium duchowne. Będzie to drugie seminarium w diecezji kamieniecko-podolskiej. Pierwsze natomiast – w Gródku Podolskim –

było jednocześnie miejscem, w którym biskup Jan Niemiec pełnił posługę zaraz po przybyciu na Ukrainę: od roku 1992 pracował tam jako wykładowca, zaś od 2001 piastował stanowisko rektora.

Do Gródka kondukt dotarł około godziny 18.00 tego samego dnia. Wierni mogli pożegnać się z biskupem Niemcem w kościele pw. św. Stanisława, biskupa i męczennika – świątynia była otwarta również w nocy, aby jak najwięcej parafian mogło ją odwiedzić. W Gródku odprawione zostały dwie Msze święte: pierwsza z nich pod przewodnictwem biskupa Radosława Zmitrowicza miała miejsce od razu po przybyciu – wraz z biskupem pomocniczym koncelebrowali ją także ks. Wiktor Łutkowski, proboszcz parafii św. Stanisława, oraz o. Zenowij Małaniuk, proboszcz greckokatolickiego kościoła pw. św. Jerzego Zwycięzcy. Natomiast drugą mszę – uroczystą sumę – sprawowano następnego dnia, 8 listopada o godzinie 12.00, w tejże świątyni. Przewodniczył jej ks. Wiktor Biłous, obecny rektor gródeckiego seminarium. Po tej celebracji kondukt wyruszył do Katedry Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kamieńcu Podolskim. Po przybyciu do katedry odprawione zostały uroczyste nieszpory.

W poniedziałek 9 listopada o godzinie 12.00 odbył się pogrzeb jego ekscelencji Jana Niemca. Uroczystości żałobne poprzedzone zostały modlitwą różańcową. Rozważania odczytał ordynariusz diecezji kamieniecko-podolskiej Leon Dubrawski, który podziękował współbratu, jego rodzinie oraz Bogu za dar powołania śp. biskupa Niemca. Następnie odczytano listy kondolencyjne od przedstawicieli władzy zarówno kościelnej, jak i państwowej. Mszy świętej pogrzebowej przewodniczył arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski, zaś wraz z nim koncelebrowali także biskupi Kościo-

ła rzymskokatolickiego i greckokatolickiego oraz liczni kapłani z całej Ukrainy, którzy przybyli do Kamieńca, aby pożegnać swojego nauczyciela i pasterza. Na pogrzebie w Katedrze był obecny Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Winnicy Damian Ciarciński.

Homilię wygłosił biskup ordynariusz Leon Dubrawski, który, podobnie jak biskup Zmitrowicz, wspominał o świętości biskupa Jana. Tak wpatrywał się on w Jezusa Chrystusa, że wydawało mi się, niby cały jest w Jezusie Chrystusie, a Chrystus w nim – powiedział Dubrawski. Jego ekscelencja Leon mówił także o chorobie biskupa Jana i o jego sposobie przeżywania cierpienia. Przypomniał, że nawet w najtrudniejszych chwilach biskup pozostawał cichy i pokorny sercem. Opowiedział też, jak w drodze do szpitala biskup Jan Niemiec oznajmił, że jest gotowy, by Pan Bóg go zabrał. Pytałem go: „*Bracie, czy coś Cię boli?*” – relacjonował Dubrawski. – *Na co on odpowiadał: „Nie pamiętam takiego dnia, aby mnie nie bolało”. On był pełen radości mimo wszelkiego cierpienia. [...] Jak złoto jest hartowane w ogniu, tak człowiek nieraz jest hartowany w cierpieniu».*

Szczególną uwagę biskup Leon poświęcił czytaniom mszalnym (zwłaszcza Ewangelii), które wpisywały się w posługę kapłańską zmarłego Jana Niemca. Komentując pierwsze czytanie z Księgi Mądrości, Dubrawski zauważył, że Księga ta niejako odbiła się w życiu śp. biskupa Jana. «*Umiał on bowiem mądrze i rozumnie realizować Boże Słowo, jak również dawać świadectwo o Nim wszystkim, których spotykał na swej drodze. Mamy cztery Ewangelie*» – spointował ordynariusz. – «*On zaś był tą piątą, żywą Ewangelią. Biskup Jan Niemiec głosił Dobrą Nowinę nie tylko słowem, ale także całym swoim życiem. W odniesieniu do jego*



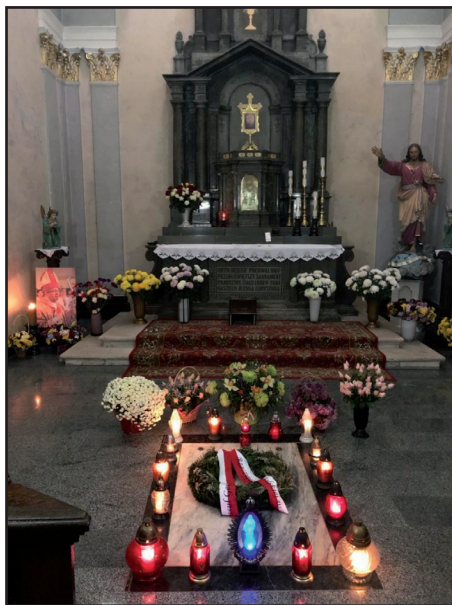
Trumna ks. biskupa Jana Niemca w katedrze pw. Św. Piotra i Pawła w Kamieńcu Podolskim na Ukrainie
Fot. Archiwum

żarliwej wiary niezwykle wymownie zabrzmiał również fragment Ewangelii św. Jana. „Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim” (J 6:56) – przemawia Chrystus. W życiu biskupa Jana Ciało i Krew Pańska zajmowały miejsce centralne. Chrystus w Eucharystii był dla niego i prawdą, i życiem, i drogą, i cierpieniem, i zmartwychwstaniem» – stwierdził Dubrawski oraz wyraził pewność, iż jego ekscelencja Jan spotkał się dzisiaj ze swoim Zbawicielem. Kończąc homilię, biskup Leon zwrócił się do swojego współbrata, aby wspomniał na nas żywych, byśmy przebyli swoją drogą w zgodzie z prawdą. Teraz mamy dwóch patronów w Niebie, dwóch Janów wraz z biskupem Janem Olszańskim – powiedział Dubrawski.

Po Komunii świętej rozpoczęły się obrzędy pogrzebowe. Słowo pożegnalne wygłosił rektor wyższego seminarium duchownego w Gródku Podolskim ks. Wiktor Biłous. Ksiądz rektor przypomniał pracę ks. Jana Niemca – wówczas jeszcze nie biskupa – w seminarium, od którego rozpoczęła się jego posługa w diecezji kamieniecko-podolskiej. Zaznaczył, iż biskup Jan przygotował liczne pokolenia kapłanów, ucząc radykalnej przynależności do Baranka ofiarnego. Odrobina biskupa Jana przebywa w każdym z nas – podkreślił ks. Biłous. Szczególną uwagę ksiądz rektor zwrócił na hasło biskupie Jana Niemca – „Ecce Agnus Dei”. «Znamy Baranka zranionego» – zauważył ks. Biłous – «ponieważ jeden z żołnierzy przebił Mu bok, z którego wypłynę-

ly krew i woda. Baranek to symbol ofiary. Być może gdy biskup Jan wybrał sobie taką dewizę, nie oczekiwał, że ten wymiar ofiary stanie się aż w takiej mierze rzeczywisty w jego posłudze». Na zakończenie przemówienia zaś dodał: «Znamy jednak nie tylko Baranka ofiarnego, lecz także Baranka triumfującego. I ten właśnie Baranek przynosi nam pocieszenie i obdarza nadzieją».

W imieniu Kościoła grekokatolickiego kondolencje złożył biskup Iwan Kutyk, ordynariusz eparchii kamieniecko-podolskiej. Podkreślał on, że biskup Jan Niemiec dał prawdziwe świadectwo wiary i gorliwej posługi w Bożej winnicy. Z kolei w imieniu Konferencji Rzymskokatolickiego Episkopatu Ukrainy głos zabrał arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, metropolita lwowski. Podkreślił on, iż krypta w Katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kamieńcu Podolskim to godne miejsce spoczynku dla biskupa Jana, jako że właśnie diecezji kamieniecko-podolskiej poświęcił on całe biskupie życie – dwadzieścia osiem lat. Metropolita przypomniał, że Jan Niemiec przybył na Ukrainę w odpowiedzi na wezwanie ówczesnego biskupa Jana Olszańskiego. Podobnie uczyniło wielu polskich kapłanów na znak solidarności z Kościołem, który doświadczył licznych prześladowań. Wobec tego abp Mokrzycki skierował do hierarchów Kościoła polskiego słowa podziękowania za ogromny wkład w kształtowanie współczesnego oblicza Kościoła na Ukrainie. W sposób szczególny metropolita dziękował wspólnocie przemyskiej za to, że wydała tak gorliwego kapłana, wychowawcę i biskupa, jakim był Jan Niemiec. Wyrazy wdzięczności skierował również do rodziny śp. biskupa – jego matki i siostry. Arcybiskup podziękował im za wieloletnią troskę i ofiarne poświęcenie, a także za to, że wyraziły zgodę na



Krypta w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu w której spoczywa śp. biskup Jan Niemiec Fot. Archiwum

pochowanie ciała biskupa Jana w kryptie kamienieckiej świątyni, w której przyjął on święcenia biskupie i często sprawował Najświętszą Ofiarę. «On zasłużył na to miejsce pochówku, gdyż nie żył dla siebie, lecz dla Pana» – stwierdził Mokrzycki. – «I w życiu, i śmierci należał do Pana, a On go wezwał tutaj, aby spełnił swoje kapłańskie posługiwanie. Jestem przekonany, że Wasza decyzja zgodna jest z jego pragnieniem».

Kończąc swoje przemówienie, metropolita przytoczył słowa jednego z trzech polskich wieszczów: «Biskupie Janie, Juliusz Słowacki napisał w wierszu „Testament mój” tak: „Żyłem z wami, cierpiełem i płakałem z wami; / Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny: / Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami!”. Tymi słowami dzisiaj nas żegnasz. My jed-



Śp. ks. biskup Jan Niemiec, biskup pomocniczy diecezji kamieniecko-podolskiej

Fot. Archiwum

nak jesteśmy pełni nadziei, że zawsze będziesz wśród nas [...]

Trumna z ciałem jego ekscelencji Jana Niemca została złożona w lewej nawie, w Kaplicy Wieczystej Adoracji, gdzie śp. biskup spoczął obok biskupa Jana Olszań-

skiego. *«Najważniejsze jednak»* – zaakcentował metropolita Mokrzycki – *«że będzie on odpoczywał obok Chrystusa, który był dla niego Wszystkim, którego obecnością on cieszył się w swoim cierpieniu i którego pragnął przez całe swoje życie».*

«Śmierć sprawiedliwego nie jest śmiercią – to prawdziwe narodzenie» – powiedział arcybiskup Mokrzycki podczas homilii w Dobrzechowie. – *«Twoim dies natalis był 27 października, miejscem – szpital w Łańcucie, a oczekiwaniem na zmartwychwstanie będzie katedra w Kamieńcu Podolskim».*

*Nela Szpyszko
Anastazja Podluk*



Буць хрещіжанінем - Бути християнином

КОМЮНІКЕ КОНФЕРЕНЦІЇ ЄПІСКОПІВ РИМСЬКО-КАТОЛИЦЬКОЇ ЦЕРКВИ В УКРАЇНІ

Римсько-Католицька Церква в Україні
КОНФЕРЕНЦІЯ ЄПІСКОПІВ



Ecclesia Romano-Catholica in Ucraina
CONFERENTIA EPISCOPORUM

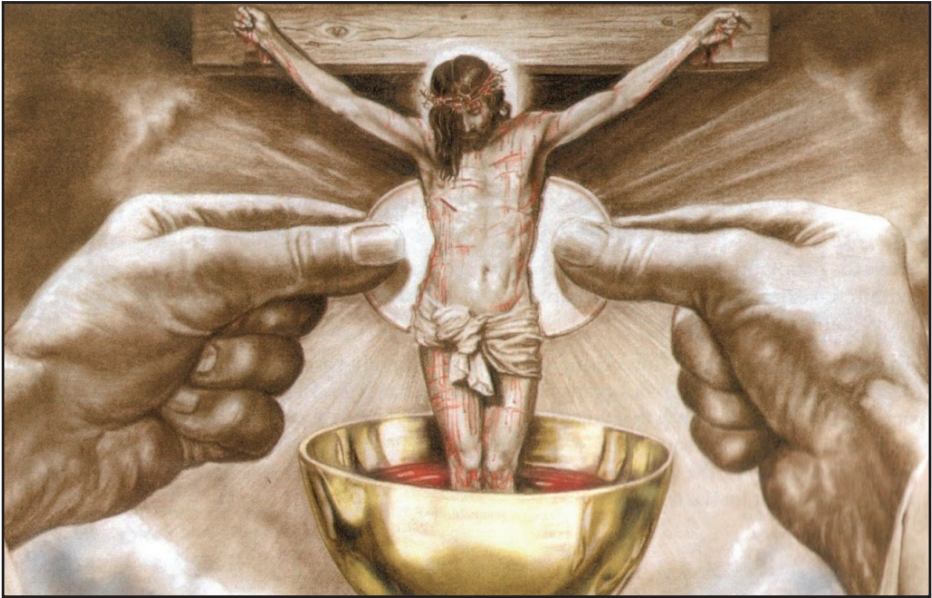
Дорогі Брати і Сестри!

«Церква живе з Євхаристії» – повчав Святий Папа Йоан Павло II в своїй останній енцикліці *Ecclesia de Eucharistia*. З цих слів насувається висновок: якщо з Євхаристії Церква живе, то без Євхаристії вона помирає! Це глибоко переживала Рання Церква, а її досвід найкраще відображають слова одного із християн, Емерита, власника дому, де відправлялася Євхаристія і який на допиті відповідав Проконсулу: «Не можемо жити без святкування Господнього дня, без таїнства Господнього!». Слова Авігінських мучеників прокоментував кардинал Роберт Сара, Префект Конгрегації до справ Божого культу і дисципліни Таїнств. Що значить «не можемо жити без святкування Господнього дня»? Ватиканський ієрарх відповідає:

«Не можемо жити, не можемо бути християнами, не можемо реалізувати повністю нашу людську природу і бажання добра та щастя – без Господнього Слова, яке під час celebrazії стає Тілом (...) Не можемо жити як християни без участі в Жертві

Хреста, в якій Христос дає себе без обмежень, щоб своєю смертю спасти людину, яка була мертва з приводу гріха (...) Ми не можемо без Євхаристійного бенкету, без Господнього столу, до якого ми запрошені як діти і брати (...) Ми не можемо без християнської спільноти, родини Господньої (...) Ми не можемо без дому Господнього, який є нашим домом (...) Ми не можемо без Господнього дня, без неділі, яка приносить світло та осмислює наступні робочі та сімейні дні та суспільні обов'язки» [1].

Карантин, пов'язаний з covid-19, суттєво ускладнив і ускладнює звичайну участь в Святій Месі для багатьох вірних. У гострій фазі карантину багато осіб змушені брати участь в онлайн – трансляціях, а Святе Причастя приймати в духовий спосіб. Однак, Церква не може функціонувати так довгий час. Адже Євхаристія – це зустріч Обручника Христа з Його Нареченою Церквою. Подібно як Христос присутній в Євхаристії правдиво, реально та істотно (vere, ge-



aliter, substantialiter), важливо, щоб такою була присутність і Церкви: правдивою, реальною та істотною!

У зв'язку зі вищесказаним заохочуємо вірних там, де на це дозволяє санітарно-епідеміологічна ситуація, дотримуючись відповідних

правил і законів, брати участь у Євхаристійному зібранні. Просимо душпастирів, там, де є така потреба, збільшити кількість celebрацій, щоб звершувати Святу Месу в малих спільнотах. Нехай наші храми будуть відкриті протягом дня, а душпастирі доступні для Святої Сповіді, духовної розмови та уділення Святого Причастя. Не забуваймо також про хворих, яким необхідно Хліб Життя занести до їхніх домівок! Нехай нікому не забракне Таїнства Любові, яким є Євхаристія.

Львів, 27 листопада 2020
N. 51/2020

**Єпископи Римсько-Католицької
Церкви в Україні**



[1] <http://www.cultodivino.va/content/cultodivino/it/documenti/lettere-circolari/torniamo-con-gioia-all-eucaristia--15-agosto-2020-.html>

Odeszli - Відійшли

KAŻDY JĄ UWIELBIAŁ



Ostatni wpis na Facebooku poświęciła Matce Bożej. Zakończyła: „*Weź nas (...) pod skrzydła moźnej Twej opieki, aż nam nadejdzie życia kres*”. Zmarła nagle trzy godziny później.

Sobotnie popołudnie 12 września [2020 r.]. SMS: „*Proszę o modlitwę za zmarłą panią Marysię Kielar-Czapłę...*”. Szok, niedowierzanie, ból. Wiadomość lotem błyskawicy rozchodzi się po mieszkańcach Radzionkowa i okolic, a potem jeszcze dalej. Poruszenie na Facebooku, gdzie pani Maria jeszcze trzy godziny

wcześniej publikowała posty – najpierw modlitwę do Matki Boskiej Piekarskiej w dniu Jej święta, a zaraz potem nowy plan lekcji w szkole sportowej, w której uczyła religii. „*Bóg miał inny plan...*” – napisał ktoś w komentarzu.

Z ogromnym zaangażowaniem uczyła dzieci o tym, jaki Bóg jest dobry, o Jego miłości do każdego człowieka i o tym, że warto Mu zaufać. Sama była wiarygodnym świadkiem tego, co głosiła na katechezie. Przez ponad trzy dekady swojej pracy nigdy nie zwątpiła w żadnego ze swoich uczniów, nie narzekała na uciążliwe obowiązki nauczyciela religii ani na coraz trudniejszą wychowawczą młodzież. Dwa pełne pokolenia, które przeszły przez ręce pani Marysi, opowiadają o jej nieustannym uśmiechu, poczuciu humoru, życzliwości, empatii i stale powtarzanym: „*Zaufaj Bogu. On wie, co robi*”.

DZIĘKI NIEJ ZWYCIEŻYŁAM

– Poznałyśmy się przed 35 laty, kiedy Marysia uczyła religii moją córkę – opowiada Barbara Smoczok. – Już wtedy była bardzo lubiana przez dzieci i młodzież. Nic nie sprawiało jej trudności w pracy z uczniami. Do każdego dziecka podchodziła indywidualnie. Nie było jej ciężko własnoręcznie wykonać dla każdego ucznia piękną świąteczną kartkę... Na facebookowym profilu zmarłej katechetki każdego dnia pojawiają się nowe wpisy jej uczniów – tych sprzed 35 lat i tych obecnych: „*Każdy uczeń ją uwielbiał i szanował*”; „*Nikogo nie starała się na siłę zmieniać, ale akceptowała każdego ucznia*”; „*Kiedy zmagiła się z uczniami, którzy nie do końca traktowali lekcje religii poważnie, to zawsze uśmiechała się*

i podchodziła do każdego z dobrocią i miłością”; „Potrafiła znaleźć w każdym coś dobrego”.

Niezwykłe świadectwo dała o pani Marysi jej córka. „*Dzięki niej zwyciężyłam, co zwyciężyłam; zdobyłam, co zdobyłam; wytrzymałam, co wytrzymałam*” – napisała na facebookowym profilu swojej mamy. „*Mama mówiła: »Pamiętaj i powtarzaj sobie słowa: ‘Jezu, ufam Tobie’.* Po prostu zaufaj. Oddaj wszystko w ręce Boga»”. Pani Maria z wielką pasją pielęgnowała pamięć o słudze Bożym o. Ludwiku Wrodarczyku, oblacie z Radzionkowa, który zginął męczeńską śmiercią na Wołyniu w czasie II wojny światowej. Najpierw obroniła pracę magisterską o męczenniku, „*zaprzyjaźniła się*” z nim, a potem napisała o nim książkę i dziesiątki artykułów. Brała udział w niezliczonych projektach popularyzujących życie i sylwetkę o. Ludwika. – Ona po prostu szukała świętości – wspomina przyjaciółkę B. Smoczok. – Nasze nocne rozmowy przez telefon często dotyczyły jej starań o rychłą beatyfikację o. Ludwika. Cieszyła się, że sługa Boży już jest znany w Afryce. Miała jeszcze wiele planów... „*Pasja zawsze wypływa z wnętrza człowieka*” – mówiła Maria w rozmowie z poetką i dziennikarką Dagmarą Nawratek, z którą współorganizowała Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. sługi Bożego o. Ludwika Wrodarczyka. „*Ludzie z pasją są bezinteresowni, uskrzydleni, pełni energii i chęci do działania. (...) Chciałabym również pozostawić coś po sobie...*”.

SPOKOJNIE, UDA SIĘ!

– Pani Marysia miała dar „*dobrego uporu*” – uśmiecha się Jacek Glanc. – Jeśli już wyczuła, że jakaś idea czy projekt mogą być zaczątkiem czegoś dobrego na chwałę Pana Boga, nie odpuszczała. Tak długo kogoś przekonywała, prosiła, wy-

myślała argumenty, aż w końcu osiągała swój cel. Nie przeszła obojętnie obok nikogo na ulicy. Każdego dnia można było zobaczyć, jak przemierzając drogę z pracy do domu albo z domu do kościoła czy na zakupy, zatrzymuje się i rozmawia z wieloma osobami. Nie tylko o pogodzie. Zawsze z szerokim uśmiechem. „*To mój atrybut*” – powtarzała. – Bardzo do niej pasował ten jej uśmiech – mówi J. Glanc. – Ona po prostu była odporna na sztuczność, na „*maskarady zachowań*” w tym galopującym i często udawanym świecie. Ostatni raz kontaktowaliśmy się dwa dni przed śmiercią Marysi. Byliśmy umówieni na ostateczne dostarczenie materiałów do wrześnieowego „*Adalbertusa*” [parafialny miesięcznik – przyp. aut.]. Włączam komputer. Awaria. Piszę Marysi, że klęska wisi w powietrzu. Ona na to: „*Spokojnie. Uda się!*”. Rzeczywiście, prosto z urlopu wpada do mnie serwisant i wszystko gra. Rozgorączkowany piszę Marysi o wszystkich gradowych chmurach, jakie wisały nad wydaniem miesięcznika. I dostaję odpowiedź: „*Panie Jacku, a przecież wystarczyło westchnąć: »Jezu, ufam Tobie«?*”...

Aleksandra Pietryga



Odeszli - Відійшли

ROMAN DZWONKOWSKI SAC KUSTOSZ PAMIĘCI POLAKÓW NA „NIELUDZKIEJ ZIEMI”



Śp. ksiądz Roman Dzwonkowski, pallotyn

Fot. IPN

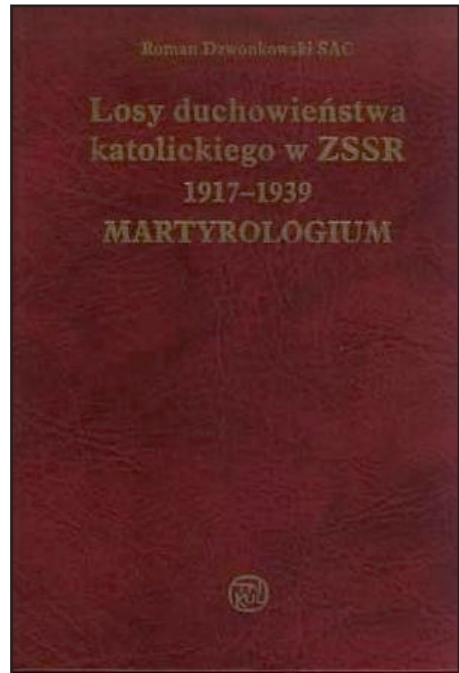
Tuż przed końcem trudnego 2020 r., w środę 30 grudnia, w wieku 90 lat zmarł ks. prof. Roman Dzwonkowski SAC, socjolog, wieloletni profesor nauk społecznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II. Od 1989 r. członek Komitetu Badań Polonii PAN i Polskiej Akademii Umiejętności. Od 1992 r. należał do Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Był również bardzo aktywnym członkiem Komitetu Obrony Dobrego Imienia Polski i Polaków.

Urodził się 30 listopada 1930 r. we wsi Dzwonek na Mazowszu, w powiecie ostrołęckim. W 1949 r. ukończył Gimnazjum w Ostrołęce i wstąpił do Stowarzyszeniu Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotyni), rozpoczynając nowicjat zakonny w Ołtarzewie koło Warszawy. W 1958 r. ukończył studia filozoficzno-teologiczne w tamtejszym Wyższym Seminarium Duchownym, a rok wcześniej, w 1957 r., przyjął święcenia kapłańskie. W 1961 r. ukończył studia z zakresu katolic-

kiej nauki społecznej na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL i rozpoczął pracę wykładowcy w swoim zakonnym Seminarium Duchownym w Ołtarzewie. W 1966 r. uzyskał na KUL stopień doktora. W 1977 r. został etatowym pracownikiem naukowym KUL, specjalizującym się w historii Kościoła katolickiego w ZSRR i socjologii grup etnicznych. Habilitował się w 1984 r. na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL. W 1992 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 2001 r. zwyczajnego. Wykładał także w Wyższym Seminarium Duchownym Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księży Pallotynów) w Ołtarzewie oraz w Wyższym Seminarium Duchownym Diecezji Kamieniecko-Podolskiej w Gródku Podolskim na Ukrainie.

Od 1972 r. często przebywał we Francji, gdzie prowadził badania nad emigracją polską w tym kraju. Ich wynikiem jest książka „Polska opieka religijna we Francji 1909-1939” (Poznań 1988). W 1970 r. po raz pierwszy przebywał na Wileńszczyźnie, wówczas jeszcze stanowiącej część ZSRS, gdzie zajmował się badaniem kultury polskiej, szczególnie religijnej, na dawnych Kresach Wschodnich I i II Rzeczypospolitej. Później zajął się także problemami Polaków na terytorium całego ZSRS.

W 2000 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, a w 2010 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 70. rocznicę urodzin jako „wyraz uznania i wdzięczności za pracę naukową w Instytucie Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL (1977-1990)” pracownicy tego Instytutu dedykowali ks. Romanowi Dzwonkowskiemu 21 tom „Studiów Polonijnych”. Biblioteka Narodowa w Warszawie w swoim katalogu wylicza pod Jego nazwiskiem 228 publikacji. Przede wszystkim są to pra-



ce naukowe, popularnonaukowe i publicystyczne. Wśród wydanych przez Niego książek należy wymienić m.in.: „*Polacy na dawnych Kresach Wschodnich. Z problematyki narodowościowej i religijnej*” (Lublin 1994), „*Kościół katolicki w ZSRS 1917-1939. Zarys historii*” (Lublin 1997) czy choćby jeszcze „*Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939-1988*” (Lublin 2003). Publikacje ks. prof. Dzwonkowskiego są wysoko cenione w krajowych i zagranicznych środowiskach naukowych. Mają też szerokie grono czytelników w Polsce i w krajach, których dotyczyły zrelacjonowane w nich badania. Budzą duże zainteresowanie, bo poruszana w nich problematyka przez długi czas była mało znana, a nawet wręcz zakazana. Zmarły był jednym z pionierów, którzy się nią zajęli. I to pionierem nader odważnym, szukającym

Z głębokim smutkiem żegnam



Ks. Prof. Romana Dzwonkowskiego SAC

Odszedł od nas przyjaciel i duszpasterz Polaków na Wschodzie
Opiekun i badacz historii Kościoła katolickiego na Wschodzie
Wieloletni wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Wyższego Seminarium Duchownego w Ołtarzewie i seminarium duchownego w Gródku Podolskim na Ukrainie
Członek Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności
Jeden z założycieli Stowarzyszenia Wspólnota Polska

Obrońca Dobrego Imienia Polski i Polaków
Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz odznaką honorową MSZ Bene Merito – za działalność wzmacniającą pozycję
Polski na arenie międzynarodowej

Księdza Profesora zapamiętamy jako człowieka modlitwy i czynu

Rodzinie, przyjaciółom oraz wszystkim Rodakom
składam najgłębsze wyrazy współczucia

Jan Dziedziczak

Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów
Pełnomocnik Rządu do Spraw Polonii i Polaków za Granicą

skutecznych sposobów dotarcia do niedostępnych źródeł i przez dziesiątki lat zastraszonych świadków.

Dokonania naukowe ks. prof. Dzwonkowskiego na przestrzeni Jego długiego życia są niezwykle bogate. Z biegiem czasu porzucił temat Polonii francuskiej, ongiś bardzo mu bliski, wydawało się wręcz, że dokonania w tym zakresie będą Jego opus vitae. Przedmiotem Jego badań zostało jednak coś ważniejszego i bardziej pasjonującego – Polacy za Bugiem, i to

nie tylko w najbliższej od tej rzeki odległości, ale na rozległych ziemiach dawnego Kraju Rad, „nieobjętych dla ludzkiego oka”, jak kiedyś o tym śpiewano, a teraz już tylko się wspomina.

Z perspektywy lat należy doprawdy pogratulować wyczucia, bo warto było zrobić ten długi krok znad Sekwany aż nad Wołgę. Na Wschodzie wiele spraw ludzkich leżało zagrzebanych nie tylko w niepamięci czy też w pamięci stale jeszcze sterroryzowanej i zafałszowanej.

Ksiądz Profesor wiele się natrudził, aby tę pamięć odkopać czy też ośmielić przechodzących ją świadków i sprawić, by stała się świadectwem. To wielka zasługa Księdza Profesora. Z pewnością inni napiszą o tym jeszcze bardzo wiele, trzeba jednak od razu stwierdzić, że tych ginących świadectw nikt by już za jakiś czas nie zdołał uratować. Ks. prof. Roman Dzwonkowski uczynił to z wielkim powodzeniem.

Dzisiaj każdy, kto pisze na temat Polaków na Wschodzie, sięga niechybnie do publikacji ks. prof. Romana Dzwonkowskiego, który stał się po prostu przewodnikiem w tych badaniach, niczym koryfeusz w starogreckim chórze. Zaczynając jako zwykły badacz, z biegiem czasu został wytrawnym profesjonalistą i miłośnikiem Kościoła katolickiego i polskości na Wschodzie. Przy różnych okazjach z pasją zabierał głos na temat obrony języka polskiego w sprawowanej tam liturgii. W duchu umiłowania problematyki wschodniej odbył na Wschód wiele podróży. Był chyba we wszystkich krajach dawnego ZSRS. Nawiązywał do korzeni chrześcijaństwa na tych ziemiach. Nie tylko o tym pisał, ale też czynnie udzielał się w tamtejszym duszpasterstwie. Umacniał wiernych w wierze i służbie ludowi Bożemu. Z autopsji poznał zapach owczarni, która długo była pozbawiona swoich pasterzy.

Z podróży na Wschód miał wiele ciekawych obserwacji i wspomnień. Barwnie o tym opowiadał. Rozbudzał w polskim społeczeństwie zainteresowanie sprawą niesienia pomocy materialnej i duchowej wierzącym za naszą wschodnią granicą. Przy tym bliscy mu byli nie tylko katolicy, pomagał też wielokrotnie prawosławnym. Szczerze cieszył się z „*odzyskiwanej wolności religijnej przez wiernych rozmaitych wyznań i praw do swobodnej działalności duszpasterskiej przez poszczególne Kościoły* – pisał już w 1991 r. – *Dzieje każ-*

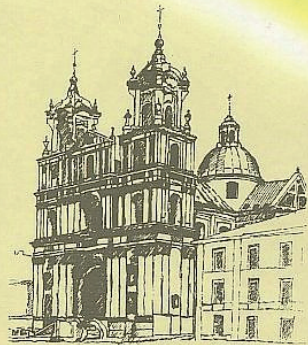
dego z nich [...] naznaczone są męczeńską śmiercią wielu tysięcy wyznawców, uciskiem i ciężkimi stratami, jakkolwiek każdy z nich znalazł się w innej sytuacji prawnej i faktycznej” [1]. Zawsze podkreślał z przekonaniem, że polski ksiądz nie tylko dla Polaka na Wschodzie jest zawsze miłym i pożądanym gościem. Był znany i ceniony nie tylko przez starsze pokolenie, ale także przez ludzi młodych, którzy z chęcią gromadzili się wokół niego. Cenili go ludzie prości i uczeni, duchowni i świeccy. Miał dłonie zawsze otwarte dla potrzebujących wsparcia, zwłaszcza duchowego, którego na Wschodzie potrzeba dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Po ks. prof. Romanie Dzwonkowskim zostało puste miejsce. Przyszedł czas, by Jego dziedzictwo z równą gorliwością podjęło nowe pokolenie, zdolne tak jak On do poświęceń, bo też i na Wschodzie „*żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało*” (Łk 10, 2).

Uroczystości pogrzebowe ks. Romana Dzwonkowskiego miały miejsce najpierw w Lublinie, a później w jego rodzinnej parafii w Czerwinie koło Ostrołęki. W lubelskim kościele pw. Wieczerzy Pańskiej w dniu 4 stycznia była sprawowana uroczysta Msza św. żałobna z udziałem trzech biskupów i 40 kapłanów przy licznych udziałach wiernych. Wśród nich byli przedstawiciele nie tylko środowiska naukowego Lublina, ale także innych ośrodków badawczych Polski, reprezentanci władz lokalnych i centralnych. Podobnie było także dzień później, 5 stycznia, w dniu pogrzebu w Czerwinie, gdzie Ksiądz Dzwonkowski, potomek polskiej szlachty mazowieckiej, spoczął w grobowcu rodzinnym. Tutaj także, mimo pandemii, żegnany był tłumnie, przede wszystkim przez społeczność lokalną, duchowieństwo, a także przez ludzi nauki, polityki,

Roman Dzwonkowski SAC

MNIEJSZOŚCI NARODOWE A EWANGELIZACJA



TOWARZYSTWO NAUKOWE KUL

władz samorządowych.

W licznych przemówieniach nad trumną Zmarłego mocno podkreślano niezwykle zasługi zmarłego Profesora. W tle tych wystąpień na nowo odżyły słowa Bolesława Prusa, wypowiedziane u progu XX stulecia.

„Po całej kuli ziemskiej rozsypani się bracia nasi, Polacy – pisał Prus w 1909 r. – Spotkać ich można w Moskwie i Berlinie, w Irkucku i Nowym Jorku, nad Renem i Amurem, nie mówiąc o takich [...] okolicach, jak: Wołyń, Podole, Ukraina i Litwa. Wszyscy oni tę posiadają wspólność wobec naszego serca i pamięci, że – prawie ich nie znamy, bardzo niewiele o nich wiemy i nader mało interesujemy się nimi. Syto im czy głodno, zimno czy gorąco, żyją i rozwijają się czy też giną bez ratunku – nas to nie obchodzi, zapewne dlatego, że i oni nie zwracają się do nas.

A jednak – może i nieźle byłoby nie tylko od czasu do czasu usłyszeć coś od nich,

ale – utrzymywać z nimi ciągle zetknięcie i starać się, ażeby między nami i nimi wytworzył się duchowy prąd myśli i uczuć. My przypominalibyśmy im daleką ojczyznę, za którą każdy Polak tęskni, oni opowiadaliby nam o krajach, ludach i stosunkach, wśród których żyją; my ogrzewalibyśmy ich, oni wzbogaciliby naszą wiedzę. Znajomość obcych ludów jest źródłem bodaj czy nie największej mądrości praktycznej” („Notatki wołyńskie”, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 49 z 3 XII 1909).

Te słowa wielkiego pisarza polskiego Książd Profesor z Lublina zapisał głęboko w swym sercu i z najwyższym poświęceniem oraz pełnym sukcesem zrealizował je pod koniec XX oraz na początku XXI stulecia. Zasługi te doceniły między innymi władze Instytutu Pamięci Narodowej, które w 2019 r. przyznały ks. Dzwonkowskiemu prestiżową Nagrodę IPN „Semper Fidelis”: za upamiętnianie dziedzictwa polskich Kresów Wschodnich.

Ks. Edward Walewander, KUL

[1] R. Dzwonkowski, Odrodzenie Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego w ZSRR, w: Polacy w Kościele katolickim w ZSRR, red. E. Walewander, Lublin 1991, s. 21.



Być chrześcijaninem - Бути християнином

WYBRANE HOMILIE I NAUKI O. LEONA NOWAKA TJ DOTYCZĄCE EUCHARYSTII

W związku z Rokiem Eucharystii z inicjatywy Prezeski Instytutu Miłosierdzia Bożego prof. dr hab. Teresy Dziembowskiej zostały zaprezentowane wybrane homilie i nauki O. Leona Nowaka TJ, dotyczące Eucharystii. Są nimi: Cudowne rozmnożenie chleba (homilia na IV Niedzielę Postu), kazanie na Boże Ciało, nauka rekolekcyjna – Eucharystia szkołą wiary chrześcijańskiej i konferencja z cyklu o Kościele: Papież a Najświętszy Sakrament.

O. Nowak wspólnie z Ludmiłą Roszko był u początku Instytutu Miłosierdzia Bożego. Formował pierwsze członkinie Instytutu aż do roku 1965, czyli do chwili swojej śmierci. Pozostawił nam kilkanaście teczek rękopisów i maszynopisów z rekolekcji, kazań i wykładów oraz z ćwiczeń duchownych. Wszystkie te czki zostały przez Ojca ponumerowane. Zamieszczone poniżej nauki o Eucharystii pochodzą z teczek numer 9.

Ja osobiście zawdzięczam Ojcu Leonowi przede wszystkim skoncentrowanie swojej uwagi na Mszy św., na Eucharystii. Byłam młodą dziewczyną, w Instytucie stawiałam pierwsze kroki. Wybierałyśmy się na rekolekcje do Częstochowy. Ktoś zaplanował pociąg o wczesnej godzinie z przesiadką w Łodzi. A Ojciec na to: To nie dobry plan, bo nie będziecie mogły w tym dniu uczestniczyć we Mszy św. To jedno zdanie podziało na mnie bardzo silnie. Zaczęłam się zastanawiać nad wartością Eucharystii. Później O. Leon przygotował nam i przeprowa-



dził rekolekcje na temat Mszy św. Pamiętam je do dzisiaj. Dzięki łasce Bożej owocowały one w moim życiu. Zapewne nie tylko w moim.

Mam nadzieję, że zamieszczone poniżej nauki O. Leona przemówią także dobitnie do młodszych instytutowych koleżanek, które znają Ojca tylko ze słyszenia.

Znany nam ks. Edmund Boniewicz SAC, który współpracował z Ojcem Leonem i nie jeden raz zastępował go w głoszeniu rekolekcji, napisał bardzo ciepłe słowa.

Teresa Łukaszek



Duchowość - ДУХОВНІСТЬ

WYBRANE HOMILIE I NAUKI DOTYCZĄCE EUCHARYSTII

CUDOWNE ROZMNOŻENIE CHLEBA
(Niedziela IV. [Wielkiego] Postu, 1942 r.)

Trzy razy Bóg w cudowny sposób nakarmił ludzkość:

Pierwszy raz zesłał swojemu ludowi na pustyni mannę czyli chleb nieba.

Podczas swego ziemskiego życia Pan Jezus w cudowny sposób dwukrotnie rozmnożył chleb i nakarmił nim całe rzesze.

On sam był chlebem, który «z nieba zstąpił».

Na pustyni Bóg w cudowny sposób nakarmił swój lud.

Przez 40 lat tysiące swoich wybranych codziennie karmił nadzwyczajnym pokarmem, tak co do jakości, jak i wdzięczności, tak jakby się im to należało.

Drugie cudowne nakarmienie chlebem miało miejsce nad Morzem Galilejskim-Tyberiadzkim. Jezus w cudowny sposób rozmnożył 5 bochenków chleba, tak że nasyciło się około 5 tysięcy mężczyzn, nie licząc niewiast i dzieci. Św. Jan r. 6.

Skutek taki, że uznali Jezusa za prawdziwego proroka, który miał przyjść na świat, za Mesjasza.

Drugi skutek – chciano Jezusa porwać i ogłosić królem, a uczniom odjechać dlatego, żeście cuda widzieli, ale żeście chleb jedli i najedli się. Jezus nie chce być królem takim, który będzie się troszczył o jedzenie i odzienie dla narodu, nie chce być królem ziemskim, doczesnym, ale chce być królem królestwa, które nie jest z tego świata, chce być królem dusz i w takim królestwie duchowym takim podda-

nym, którzy będą do jego królestwa należeć, postara się o chleb, ale inny, chleb, który z nieba zstąpi, o mannę niebieską.

Dlatego mówi: «*Starajcie się nie o pokarm, który ginie, ale o ten, co trwa ku żywotowi wiecznemu, który wam da Syn Człowieczy. Ojciec mój daje wam chleb z nieba prawdziwy. Albowiem chleb Boży jest, który z nieba zstąpił i daje żywot światu. Rzekli tedy do Niego: Panie, daj nam zawsze tego chleba. A Jezus im odpowiedział: Jam jest chleb żywota. Ojcowie wasi jedli mannę na puszczy i pomarli. Ten jest chleb, który z nieba zstępuje, aby ten, kto go pożywać będzie, nie umarł. Jeśli kto pożywać będzie tego chleba, żyć będzie na wieki, a chlebem, który Ja dam jest ciało moje na żywot świata».*

Zewnętrzna spójnia królestwa izraelskiego, w pojęciu żydów królestwa ziemskiego, miał być w cudowny sposób zsyłany pokarm doczesny.

Jezus dla swego królestwa, królestwa duchowego, nie z tego świata, gotuje inny pokarm, który będzie spójnią, ale duchową, wszystkich wiernych, łącząc ich w jedno, a równocześnie wszyscy wierni najświętszymi węzłami złączeni będą z Dawcą tego pokarmu. Tym pokarmem to Jego Najświętsze Ciało.

Tę spójnię wyraża najlepiej Jezus w przedziwnym porównaniu: Ja jestem winnym szczepem, a wy jesteście winną latoroślą.

Najświętsza łączność: gałązka złączona z pnem, bez niego usycha.

Ta sama natura.

To samo życie, te same soki.

Tę najściślejszą łączność zadzierzga Jezus przez ten cudowny pokarm, który z nieba zstąpił.

«Kto pożywa moje Ciało i pije moją Krew – ten mieszka we mnie, a ja w nim.

Kto pożywa moje Ciało, ten ma życie w sobie.

Kto pożywa moje Ciało, ten ma żywot wieczny.

Kto pożywa moje Ciało, tego wskrzeszę w ostatni dzień świata».

Ja żyję przez Ojca, a kto pożywać będzie mnie, ten żyć będzie przeze mnie.

Chrystus mieszka w nas, a my w nim.

Życie nadprzyrodzone

Żywot wieczny.

Wskreszenie – wieczność ciała.

Gdy żydzi usłyszeli, że daje im swoje ciało do jedzenia, zgorszyli się i odstąpili od Jezusa, przestali weni wierzyć, nie mogli pojąć tego, bo nie patrzyli na cuda, tylko na korzyść. Jeśli Bóg mógł karmić lud na puszczy, jeśli Jezus mógł pięćdziesiątka bochenkami nakarmić pięć tysięcy mężczyzn, to może zrobić cud, by karmić swoim ciałem. Tego nie zrozumieli.

Jezus nie dał swego ciała po to, by było w ołtarzu adorowane, ale dał do jedzenia. Zrobił ten wspaniały cud nie dla lekceważenia i zobojętnienia, ale dla naszej korzyści, nawet zagroził nam wiecznym potępieniem, jeśli korzystać z niego nie będziemy.

W pierwszych wiekach wszyscy, którzy uczestniczyli we Mszy św., również przyjmowali Komunię św.

A teraz jak jest?

A ci, którzy przyjmują, korzystają tak, jak powinni?

Czyż nie ma u nas lekceważenia i po-

gardy do przyjmowania Pana Jezusa?

A w jaki sposób przyjmujemy?

Nie bądźmy podobni do żydów.

Ale z św. Piotrem zawołajmy: *«Panie, do kogoż pójdziemy? Ty masz słowa żywota».*

Łączmy się z Jezusem, a będziemy złączeni z Nim. Pożywajmy Ciało Jego, a osiągniemy

HOMILIA NA BOŻE CIAŁO

Po uroczystym Wniebowstąpieniu, po odebraniu nagrody i chwały (kolano niebieskie, ziemskie i podziemne), zstąpił Duch Święty na Apostołów i zarodek Kościoła, by trwać w nim na wieki jako Pocięzyciel.

Objawiła się nam Trójca Święta, czego wyrazem jest uroczystość Trójcy Przenajświętszej.

Chrystus jednak powiedział: I Ja będę z wami po wszystkie dni, nie zostawię was sierotami.

Odeszła Matka z tej ziemi, pozostały sieroty. Te sieroty, które umiłował do końca. Lecz nie zostawił nas sierotami, bo pozostał z nami w sposób cudowny i niejako zewnętrznie widomy.

Został z nami pod postacią Chleba, żywy, prawdziwy, Bóg-Człowiek-Hostia.

Przypatrzmy się tej Hostii Przenajświętszej.

Umieszczona w złotej monstrancji, bielutka, niepokalana hostia, skromny opłatek, zwykły chleb.

Co mówią o nim zmysły?

Co mówi rozum?

A jednak zmysły się łudzą, rozum się myli, bo tu nie ma ani chleba, ani opłatka, ale jest prawdziwe, żywe Ciało Jezusa Chrystusa, Boże Ciało.

Mówi nam o tym tylko wiara, wiara w słowa Chrystusa, wiara w Bóstwo Jego.

Rozumem możemy się przekonać, że to, co Jezus powiedział, możemy stwierdzić i udowodnić, że są to słowa historyczne, a więc wypowiedziane przez Chrystusa i niezmienione dochowały się do naszych czasów.

Rozumem możemy zbadać świadectwa historyczne, które udowodnią nam, że Jezus istniał, że Jezus powiedział i mówił, że Jezus działał dziwne rzeczy, że Jezus był Bogiem-Człowiekiem.

Na podstawie tych danych historycznych rozum doszedł do wniosków, że Jezus był Bogiem, że słowa wyrzeczone przez Niego są prawdą nieomylną, bo Bóg omylić się nie może. Chociażby chciał, nie zgadza się to z Jego naturą; z naturą, która jest odwieczną prawdą w parze pójść nie może fałsz. Jezus nie mógł nas w błąd wprowadzić, bo to pociągnęłoby dla nas straszliwe konsekwencje dla duszy i zbawienia. Przypuścimy tylko, że słowa: To jest Ciało moje – były przenośnie powiedziane i obrazowo – cóż wtedy byłyby? Wtedy człowiek, wierząc w rzeczywistą obecność Boga w Hostii, oddawałby cześć bałwanowi, tak jak czynią to poganie. Klękałby przed opłatkiem i uznawał to za akt najwyższej adoracji należnej tylko Bogu.

Żeby głębiej uwydatnić wartość słów Chrystusowych i pogłębić naszą wiarę w obecność Chrystusa w Hostii świętej, zastanówmy się nad słowami Chrystusa, które miały miejsce przy zapowiedzi Eucharystii i przy samej Konsekracji.

1. Zapowiedź chleba żywota
2. Ustanowienie
3. Wiara wieków

W jaki sposób Jezus jest obecny?

Co się stało z chlebem?

Jak jest Jezus obecny?

– Słowo, słońce, dusza.

Gdzie Jezus jest obecny? Kiedy? Jak długo?

EUCHARYSTIA SZKOŁĄ WIARY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Czego chcesz od Kościoła? – Wiary świętej.

Wiara to wszystkie prawdy, które Chrystus głosił i dał Kościołowi, by ich strzegł i bronił.

Wiara to nauka nieba, wypowiedziana z naocznego świadka, Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego.

Wiara to przyjęcie ochotne tych nowin Bożych za prawdy objawione.

Wiara to wola i czyn katolika, który postępuje w myśl tych prawd Bożych Objawionych.

Wiara to całe życie katolika idącego za głosem sumienia i chrześcijanina jakąś dziwną i miłością przytuli do swych ust już wyblakłych godło i sztandar wiary świętej – Krzyż.

Sakramenty święte tak potężne, a tak tajemne, otaczają nasze życie. Co krok jesteśmy w zetknięciu wiary świętej.

Jakżeś niewymowne i słodkie głosi nam prawdę!

Oto jesteśmy dziećmi Boga. Oto niebo i szczęście nieba jest dla nas przeznaczone. Oto karmimy się Ciałem najdroższym Syna Bożego. Za matkę mamy Matkę Jezusa, za brata Jezusa, za ojca – Ojca Przedwiecznego, Pana i Stwórcę nieba, ziemi i nas.

Oto Bóg wami świętymi.

Oto jest wiara nasza. Z tym stykamy się zawsze i wszędzie.

Czymże ona jest w istocie swej?

Jest szerszą, głębszą i pewniejszą nauką

Dzięki wierze, dzięki Bogu, który nam odsłonił tajniki nieba i bóstwa swego, oko nasze, umysł nasz sięga tam, dokąd umysł największych geniuszów nie może dotrzeć. Odsłania nam Boga. Istotę Jego, Jego życie i plany.

Potwierdza nam wiara to, co nauka przeczuwa i z lekka tylko dotykać może.

Potwierdza i objaśnia to, co nauka udowodniła.

Dzięki wierze każde zagadnienie człowiek może doprowadzić do końca, do ostatecznej przyczyny, do Boga.

Geniusze nieba i gwiazd wskazują nam ilość i wielkość gwiazd olbrzymów. Pouczają nas o składnikach, budowie, wielkości, ciężarze i masie gwiazd. Przedstawiają nam dość nieśmiało wśród wielu hipotez o początku gwiazd, skąd one się wzięły.

A my dzięki wierze, chociaż nie mamy telefonów, chociaż brak nam głębokich studiów, chociaż nie jesteśmy astronomami, wiemy, że to wszystko, co geniusze odtworzyli i zbadali, to jest dzieło rąk tych. To Bóg stworzył. I t.d.

We wszystkich dziedzinach nauki my mamy ostateczne słowo, doświadczeń.

Nie czerpiemy tej pewności z wielkich powag i odkryć nauki. Ale czerpiemy tę naszą pewność z największej powagi Pana wszelkiego stworzenia, z Boga.

Wszystko, w co wierzymy i co przyjmujemy od uczonych, opieramy na ich powadze. A wiemy, że w ciągu wieków umysł ludzki, chociaż tak genialny, musiał często zmieniać swoje poglądy, i to co było prawie że pewne, zwały następne wieki i odkrycia.

A to, co Bóg powie, jest niezmiennie. To, co nam objawi, jest pewne, to co do wierzenia jest nieomyślne. Bo Bóg omylić się nie może. – Największy i niestworzony Umysł. Omylić nas nie chce, bo jest najświętszy. – Prawodawca i okłamywać nas nie może.

Stąd ta pewność, że przyjmując słowo Boże za prawdę, przyjmujemy prawdę absolutną i niezmienną.

Ale są dziedziny w naszej wierze, są prawdy tak wielkie i tak święte, że umysł

nasz z bojaźnią się cofa, zmysły nasze mówią, że to kłamstwo.

Taką świętą dziedziną i niezgłębianą prawdą jest prawda o Najświętszym Sakramencie.

Tu rozum milknie, bo nie może tego pojąć. A mimo to podaje nam Jezus, że w Najświętszym Sakramencie, w Komunii św. pod postacią tego białego opłatka jest cały i żywy Jezus z człowieczeństwem i Bóstwem.

Przypatrzmy się tej prawdzie bliżej.

Co mówią nam zmysły o Komunii św., o tym świętym opłatku. Co mówi nam oko, co mówi ucho, co mówi smak, co mówi powonienie, co mówi dotyk.

A tymczasem jest nie chleb, a ...

Co mówi nam nasz prosty rozum?

Jeśli zmysły tych, którzy przyjmują Komunię św., mówią, że to jest zwykły opłatek, chleb, wino, to rozum musi przyjąć za prawdę, że to jest chleb.

Przecież opłatek piecze się z pszennej mąki, dodaje się trochę wody i jako taki uznaje się go, ale po podniesieniu mówią nam, że tam nie ma opłatka, tylko Pan Jezus.

A rozum pyta się, jak mogła nastąpić taka zmiana istotna, której zmysły, ani nawet mikroskop, nie mogą uchwycić. Jeśli to jest prawda, to w jaki sposób cały Jezus może być w tej małej hostii, i to do tego żywy?

Jakżeż może być Pan Jezus w małej kielich okruszynie, którą okiem dostrzec możemy?

Jak to pogodzić, że każdy człowiek przyjmuje Jezusa całego i żywego, skoro wielu przystępuje do Komunii św. i to na całym świecie.

Jeśli tam jest Pan Jezus prawdziwie, istotnie, i żywy, to jakże wytłumaczyć sobie te fakty, jak przyjmowanie niegodnie Pana Jezusa do serca grzesznika.

Jak wytłumaczyć, że grzeszne usta kapłana, sprawujące te święte sprawy, mogą przeistaczać chleb i wino w Ciało i Krew Najświętszą.

Jak wytłumaczyć ten fakt, że od czasu do czasu zdarzają się profanacje Najświętszego Sakramentu, gdzie złodziej chciwy

Później urzeczywistnił tę obietnicę, dając nam siebie za pokarm. Ostatnia wieczerza.

Podniesienie.

Stajemy przed niepojętą tajemnicą.

Po słowach konsekracji przestał istnieć opłatek, zostały tylko postaci chleba – smak, kolor, wartość, woń.

Cały Pan Jezus z Bóstwem i człowieczeństwem jest obecny jeden w każdej Komunii św., nawet w najmniejszej części.

Czy to jest prawda?

Tak, bo Pan Jezus powiedział, a Pan Jezus jest także Bogiem.

„Panie, do kogóż pójdziemy, Ty masz słowa żywota”.

„Panie, pomóż w nas wiarę”.

Jaka ta nasza wiara powinna być?

Nie obojętna. – Nie przyjęcie tylko samego faktu.

Co mi szkodzi, mogę w to wierzyć, w każdym razie nie stracę.

Obojętność w Kościele: ogląda się obrazy, ludzi, słucha się śpiewu, a o Panu Jezusie się nie myśli, jakby był na trzecim miejscu.

Przechodzi procesja – ledwo uklękne na kolano...

Wiara żywa – Patrzeć okiem ducha na Komunię św.

Zgłębiać samą prawdę Eucharystii.

Postępować tak, jak tego Pan Jezus się domaga.

Wiara serdeczna – złączona z miłością. Wierzę, bo Ciebie Kocham!

EUCHARYSTIA SZKOŁĄ NADZIEI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Jest to cnota nadprzyrodzona dana nam przy chrzcie św., dzięki której spodziewamy się osiągnąć z całą pewnością Boga jako dobro nasze najwyższe i zapłatę wiekuistą za nasze dobre życie.

Czyli jest to pewne nastawienie duszy na Boga.

Czymże by było życie nasze bez tej nadziei osiągnięcia naszego celu – Boga. Osiągnięcia naszego szczęścia?

Czymże jest nadzieja w życiu naszym codziennym?

Przypatrzmy się choremu, który już długie i bezsenne noce przepędził na łożu boleści..

Co go podtrzymuje na duchu?, co mu dodaje sił, by przetrwać tę chorobę?! – Oto słaba nadzieja robiona przez lekarza i otoczenie, że wyzdrowieje, że minie ten okres bólu, że te noce bezsenne będą należały do historii jego życia.

Czymże byłoby życie bez tej nadziei osiągnięcia naszego celu – Boga. Osiągnięcia naszego szczęścia?!

Czymże jest nadzieja w życiu naszym codziennym.

Przypatrzmy się choremu, który już długie i bezsenne noce przepędził na łożu boleści.

Co go podtrzymuje na duchu?, co mu dodaje sił, by przetrwać tę chorobę. Oto słaba nadzieja robiona przez lekarza i otoczenie, że wyzdrowieje, że minie ten okres bólu, że te noce bezsenne będą należały do historii jego życia.

Czymże by było życie ludzi, którzy cierpią za swoje prawdziwe, czy urojone winy w więzieniu, gdy nie było dla nich nadziei wolności.

Czymże byłoby życie tych nieszczęśliwych tułaczy, naszych bliskich i znajomych. Z dala od ojczyzny i od rodziny, gdyby nie było nadziei powrotu do kraju.

Czymże byłoby istnienie milionów rodaków, gdyby moc i przemoc na zawsze wymazała nas z kart historii i nie mielibyśmy nadziei, że Bóg odwróci od nas zagniewane oblicze.

Bez tej nadziei wolności życie nasze byłoby ciężkie, przygniatające. W duszy rodziłyby się bunt i czarna rozpacz, w serce wstąpiłoby zwątpienie w istnienie Boga. Załamanie kompletne nastąpiłoby u wszystkich, prawdziwie kochających wolność i ojczyznę.

Otóż tę siłę, która każe przetrwać choremu cierpienia, wygnańcowi ból i tęsknotę, która broni przed załamaniem i rozpaczą, daje nasza ludzka nadzieja, która tkwi w każdym człowieku.

Niech to porównanie z tą nadzieją ziemską posłuży nam do objaśnienia tej nadziei nadprzyrodzonej.

Tę samą rolę, jaką odgrywa nadzieja ziemską, odgrywa także nadzieja nadprzyrodzona w stosunku do Boga.

Bóg dla nas jest celem, do którego wszyscy zdążamy i zdążać musimy.

Bóg dla nas jest zapłatą za nasze dobre życie.

Bóg dla nas jest szczęściem nieskończonym, którym otoczy nas, gdy dobiegniemy do kresu naszej wędrówki

My na tej ziemi żyjąc, jesteśmy chorzy, przykuci do rozmaitych bólów i dolegliwości.

My na tej ziemi jesteśmy podobni do więźniów, którzy oczekują wyzwolenia z tego, co nas zakuwa kajdanami.

My na tej ziemi jesteśmy podobni do

wygnańców bez ojczyzny, bo ziemia jest tym padolem płaczu i bólu, bo ziemia jest naszym wygnaniem, a nie ojczyzną, bo ziemia jest polem pracy i zbieraniem zasług, a nie zapłatą.

I ci ludzie wygnańcy, ci ludzie schorzali mają w duszy wszczepioną dziwną siłę, dziwną i wielką tęsknotę, mają nadprzyrodzoną nadzieję, że jest lepsze życie w przyszłości, że gdy zamkniemy powieki na tej ziemi, wkroczymy dopiero w pełnię życia, że gdy oddamy ostatnie nasze tchnienie, rozpocznie się prawdziwa wolność synów Bożych.

Bo czymże by było życie nasze bez Boga? Bez nieba? Bez celu?

Na co człowiek miałby pracować? Po co miałby ślęczeć nad książkami, po co miałby wnosić w ludzkostwo tchnienie piękna i prawdy, kiedy to wszystko skończyłoby się z tym życiem.

Po co tyle mozołu i cierpień, tyle walk i szamotania się, gdy cel życia zamknął się w czterech deskach śmiertelnych.

Po co panować nad sobą i wykuwać piękne cechy charakteru, po co doskonalić swój rozum, duszę i serce, gdyby miał zginąć na zawsze, jak zwierzę.

Na co te piękne porywy duszy dała natura człowiekowi. Na co ta tęsknota przeogromna za wielkim i nieskończonym szczęściem, gdyby tego szczęścia na ziemi nie osiągnął, a faktycznie nie osiąga? Czyż przyroda nie omyliła się, dając człowiekowi pęd za szczęściem i za nieskończonością, a nie spełnia tego pragnienia?!

Czyż w tym wypadku zwierzę nie jest szczęśliwsze od człowieka?! Przecież zwierzę osiąga to, do czego natura go stworzyła. A człowieka tak sobie przyroda zakpiła?

Po co mam zachowywać prawa natury i prawa dane przez innych, kiedy nie ma wyższych sankcji prócz groźby rewolweru?

Tak życie bez celu nadziemskiego bez Boga nie miałoby racji bytu. Życie nasze bez pewności nieba byłoby czarne, jak rozpacz, byłoby nieszczęśliwe, raczej odebrać sobie życie niż żyć gorzej od zwierzęcia.

A ta tęsknota za Bogiem jest przegromna. Nie da się jej wyrwać przemocą, żadna siła ludzka nie wymaże z duszy tego piętna dzieci Bożych.

Bo nawet ci, którzy bluźnili Bogu przez całe życie, gdy im śmierć zagładnie w oczy, przejrzą. I nic dziwnego, że taki Wolter przy konaniu swoim wołał: Księdza! Księdza!

Człowiek może nie uznawać Boga prawdziwego, ale wciąż będzie wciąż boską nieomal osoby ludzkiej.

Gasi się świece przed ołtarzem Boga, a oświeca się jaskrawym światłem portrety bożków. Wali się posągi Chrystusa i świętych, a stawia się posągi tylko zwykłym ludziom

Wyrzuca się Księgi Boże, ewangelie Chrystusa jako niedorzeczne i głupie, a broni się zdania wypowiedzianego czy napisanego przez człowieka i uważa się je za świętość.

Tak, kto Boga odrzuca, ten ubóstwia człowieka. Bo dusza ludzka bez Boga obejść się nie może.

O czym to wszystko świadczy? – O tej wielkiej tęsknocie duszy ludzkiej z nieskończonością, za Bogiem, za niebem, za szczęściem nieskończonym.

Otóż tę tęsknotę daje człowiekowi nadzieja nadprzyrodzona. Ta nadzieja jest sprężyną, motorem wszelkich prac i wysiłków człowieka.

Ta nadzieja podnosi człowieka na duchu, w chwilach zwątpienia dodaje sił i odwagi w walce o dobro duszy. Daje pociechę w cierpieniach moralnych jednostek i narodów.

Ta nadzieja olśniewa oblicze duchowe

człowieka nadzwyczajnym blaskiem wybraństwa Bożego.

Ta nadzieja daje nam pewność, że jesteśmy dziećmi Ojca Przedwiecznego, że ojczyzna nasza to niebo, że celem naszym jest Bóg.

Westynus: *«Ale powiedz mi, co oni widzą umierając?»* (Z *«Quo vadis»*)

Chilon: *«Chrystusa...»*

.....
Petroniusz: *«Ale, czy możecie powiedzieć, że oni umierają tak, jak pospolicie zbrodniarze? Nie, oni umierają tak, jakby zbrodniarzami byli ci, którzy ich na śmierć skazują, to jest my i cały lud rzymski.»*

Prawda! Jest coś odmiennego i osobliwego w ich śmierci.

Mówią wam, że oni widzą swoje bóstwo!» – zawołał z boku Westynus.

Wówczas kilku augustyanów zwróciło się do Chilona:

– *«Hej, stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą?»*

A Grek wypluł wino na tunikę i odrzekł:

– *«Zmartwychwstanie!»*

Ten spokój, ten uśmiech wewnętrzny widzimy na chorych, którzy po przyjęciu świętych Sakramentów spokojnie umierają w Panu.

Czegoż oni są tacy spokojni?

Mają niezłomne przekonanie i silną nadzieję, że dopiero życie przed nimi się otwiera.

Cóż to jest ta nadzieja?

Największym czynnikiem, który daje wzrost nadziei i uzasadnienie jej jest

Eucharystia, jest Komunia święta, jest Jezus w Najświętszym Sakramencie. To szkoła naszej nadziei, to fundament nadziei chrześcijańskiej.

«Ojcowie wasi jedli mannę na puszczy i pomarli. Ja wam dam inny chleb z nieba, jeśli go pożywać będziecie, nie pomrzecie.

Chleb, który z nieba zstąpił jest ciało moje, a napój – krew moja.

Kto pożywać będzie tego chleba, ten będzie miał żywot wieczny. Kto pożywa moje Ciało i pije moją Krew, ten nie umrze na wieki.

Kto pożywa moje ciało i pije moją Krew, ten będzie miał żywot wieczny., a ja go wskreszę w ostatni dzień».

Dziwny to pokarm, który daje nam żywot wieczny.

Dziwna to obietnica żywota wiecznego i zmartwychwstania naszego.

Otóż Komunia święta, godne jej przyjmowanie zapewnia człowiekowi życie po tamtej stronie. Życie duszy i ciała

Spełniły się marzenia i tęsknoty dusz ludzkich za życiem wiecznym.

Skąd ta siła tej Komunii św.

Stąd, że pożywamy ciało Syna Bożego, czyli uczestniczymy niejako w człowieczeństwie Chrystusa.

«Kto mnie spożywa, ten mieszka we mnie, a ja w nim

Kto mnie miłuje, tego umiłuje Ojciec mój i przyjdziemy i założymy mieszkanie w duszy jego».

Bóg wchodzi do duszy naszej. Boga przyjmujemy do duszy naszej. Bóg w nas mieszka, a Bóg jest wieczny, dlatego i dusza będzie wieczna. Bóg jest życiem, a więc my żyć wiecznie będziemy.

Nie tylko dusza ma zapewnioną z wiarygodnych ust Boga wieczność i życie nieśmiertelne

Także ciało nasze będzie uczestniczyć w tym szczęściu. Będzie wieczne, niecierpiętliwe, uduchowione.

«Kto pożywa ciało moje i pije Krew moją, ten żyć będzie wiecznie, a ja go wskreszę w ostatni dzień».

A ja go wskreszę z martwych, cia-

ło, które uległo rozkładowi, jak ziarno pszeniczne wrzucone w glebę, odrodzi się inne, nowe i bogatsze.

A co to będzie za żywot wieczny, niech opowie nam św. Jan, który widział tron Najwyższego. I otrze wszelką łzę z oka waszego, i łez i bólu nie będzie, ale będzie światło, szczęście i radość.

Ani oko nie widziało...

To, za czym tęskniło serce ludzkie, za szczęściem pełnym, za życiem, za wiecznością, za Bogiem, nie będzie tylko próżną i nieosiągalną tęsknotą, ale pełną rzeczywistością.

łamać pod cierpieniami, by krzyż, który wkłada mu Bóg, nie był jego przytłoczeniem i zmiażdżeniem, ale zmartwychwstaniem.

Nam tej nadziei nadprzyrodzonej szczególnie dzisiaj potrzeba. Jeśli czujemy jej potrzebę, idźmy po lekarstwo, po wzmocnienie.. Idźmy do Jezusa, dawcy żywota.

Bo nikt, kto zwróci swe oczy do tabernakulum i szczerze się pomodli, nie odejdzie bez pokrzepienia i podniesienia na duchu.

A ten, co często i godnie z wielką żarliwością przyjmuje Jezusa do serca swego, ten inaczej zapatruje się na życie, ten z większą ochotą walczy, ten też ma pełniejszą nadzieję życia wiecznego.

Przepraszamy Boga za brak naszej nadziei

PAPIEŻ

A NAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT

Opracowane na podstawie książki ks. bp. Bougand «*Kościół, Papież, Namiestnik Jezusa Chrystusa*», str. 373-403.

Dlaczego Pan Jezus obecny jest w Najświętszym Sakramencie?

Tego domaga się prawo religii – miłości.

«A ja będę z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata».

«Nie zostawię was sierotami». Jam zwyciężył świat.

Zachodzi ścisła łączność między religią katolicką, a duszą ludzką. Wszystkie pragnienia, dążności i szukania umysłu i serca ludzkiego znajdują swój przedmiot w religii. Religia zaspokaja ze swej strony te pragnienia i dopomaga do ich urzeczywistnienia. Tak też i tęsknoty serca ludzkiego znajdują swój przedmiot. Znać jest, że serce jest po to, by kochać i najgorętszym pragnieniem serca jest istotna obecność ukochanego przedmiotu. Rozłąka jest nieznośna dla miłości.

Gdy się kocha, pragnie się ustawicznej obecności osoby ukochanej.

Jeżeli Bóg kocha człowieka, a serce ludzkie nastawione jest na miłość najwyższą – Boga, to jakże powinno być główne prawo religii? Ustawiczna obecność Boga wobec człowieka, a człowieka wobec Boga.

Bóg nas kocha – dał nam Syna.

Jezus nas kocha – dał nam życie swoje za nas.

Jeżeli nas kocha, to chce być obecny wśród nas.

A ja będę z wami ...

Był obecny przez parę lat, ale to w jednym kraju, dla pewnych ludzi, dla części ludzi i czasu.

A kocha nas dalej. Co robi? Zostaje z nami aż do skończenia świata, po całej ziemi, dla wszystkich dusz. To jest wspała miłość, cudowne rozwiązanie spraw sercowych Jezusa i naszych. Jest obecny, bo kocha.

Ale jak jest obecny w cudowny sposób z Bóstwem i człowieczeństwem, żywym kochającym sercem pod postacią chleba. Ale, co niestety, jest niemy.

Bo co nas uderza przy ołtarzu, przy Komunii św. wobec Najświętszego Sakramentu? – Głuche milczenie, milczenie grobu.

Jezus karmi nas, ale nic nie mówi. Jezus pociesza, pokrzepia, daje siły, znajdujemy ukojenie, ale nie naucza. Odczuwa Go nasze serce, sercu stało się zadość, bo jest obecny. Ale gdzie są Jego słowa, gdzie Jego głos, gdzie Jego nauka? Wszak w Najświętszym Sakramencie mamy tylko połowę Jezusa, a druga połowa gdzie?

W Watykanie. W Watykanie przebywa druga połowa Jezusa, Jezusa mówiącego, nauczającego, przestrzegającego, karzącego... Papież to druga połowa Jezusa., ale mówiącego.

Ja będę z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Gdzie jest?

Pod dwoma zasłonami.

Pod zasłoną chleba i pod zasłoną osoby papieża.

Zwykły człowiek niewierzący lub obojętny pod opłatkiem chleba Jezusa nie widzi.

Jezusa widzi w Najświętszym Sakramencie człowiek, który wierzy i który Go kocha. Zwykły człowiek Jezusa w papieżu nie widzi, ale zobaczy Go ten, co kocha i co wierzy.

Otóż Jezus przebywa w swoim Kościele, w duszach które kocha po wszystkiej ziemi i po wsze czasy pod dwoma postaciami pod postacią chleba w Najświętszym Sakramencie, Jezus prawdziwy, kochający, ale niemy, i pod postacią osoby Papieża – Jezus mówiący i nauczający.

Jezus pod postacią chleba żyje w blasku, ale ocieniony.

Żyje w martwej materii chleba.

Wieczny w czasowym chlebie

Nieziemny w nikłych okruszynach.

Pelen blasku w białym opłatku
Potęga w kruchym chlebie.

A jak żyje w papieżu?

„Każdy człowiek jest kłamcą”
(Ps.115,11). Wprowadza siebie i innych w błąd, może się mylić, ludzić.

Jednak ten sam człowiek zwodzący i zrodzony użyty swoich ust Chrystusowi, aby stały się nieomylnym przewodem prawdy.

Człowiek jest niestały, jak obłok pędzony wiatrem, zaprzecza dziś temu, w co wierzył wczoraj. Czcić będzie to, co przedtem deptał.

I ten człowiek chwiejny będzie narzędziem niewzruszonego ducha Jezusa Chrystusa.

Człowiek jest zepsuty, ma do złego pociąg, posunięty czasem do szału i namiętności, zdradza Boga z upodobaniem. A ten człowiek ma przechowywać nienaruszone, nieskalane źródło łaski i cnoty, i zlewać je na świat bez przerwy i słabości.

Kiedy człowiek zdradzi cnotę, fałszuje prawdę, nagina zasady, przystosowuje do swych skażonych obyczajów prawa. Człowiek, głowa Kościoła, chociażby osobiście najbardziej zepsuty, przechowa czystym i nienaruszonym depozyt prawdy i cnoty.

Człowiek trwa krótko, przepływa jak fala. Prawda i cnota muszą zawsze pozostać na ziemi, więc ten człowiek chwilo-
wy musi żyć w następcach swoich.

Nie tylko papież musi być nieśmiertelny, trwać zawsze, ale musi być powszechny.

I namiętność, i grzechy osobiste i trudności zewnętrzne uderzą na takiego człowieka – musi być niezłomny.

To są te światła i moce, którymi otoczony jest papież, Chrystus mówiący. To są te cuda, które Chrystus działał, by prawda i słowo Jego były nie skażone.

Ale tę wielką tajemnicę, jaką jest pa-

pież, podobnie jak Najświętszy Sakrament, Chrystus osłonił cieniami.

Boskie te przywileje nadał Chrystus tylko papieżowi, jako człowieka pozostawił go podległym wszystkim ludzkim żądzom, słabościom i zepsuciu.

Jako papież, głos Chrystusa, Chrystus nauczający – jest nieomylny Najwyższym Pasterzem, – jako człowiek podlega nieświadomości, złudzeniom, błędom i ograniczoności ludzkiego umysłu. Jako papież jest świętym, szerczącym z konieczności świętość i jest niezdolny do sprzeniewierzenia. – Jako człowiek jest skłonny do złego, może być zepsuty tajemnie i może się stać publicznie występny.

Jako papież jest niezłomny i nieśmiertelny, – jako człowiek bojaźliwy, słabnący.

Papież nie umiera, – człowieka można uwięzić i zabić. To są światła i cienie papieża.

Takie światła i cienie ma Najświętszy Sakrament.

By widzieć papieża w człowieku, trzeba wiary i synowskiej miłości.

By widzieć Jezusa w chlebie, trzeba wiary i miłości.

Papież ustanawia Biskupa, Chrystus...

Papież kanonizuje świętego, Chrystus...

Papież nadaje odpust, wyklina grzesznika, Chrystus ...

«Cokolwiek zwiążecie na ziemi...»

«Ojciec mój aż dotąd działa i ja działam». (Jan 5,17).

Papież i Chrystus razem działają, razem rządzą, razem uświęcają. Kościół jest owczarnią Chrystusa, Jezus jest pasterzem niewidzialnym, papież widzialnym.

Kościół jest domem, Chrystus fundamentem niewidzialnym, papież widzialnym.

Jest to specjalny związek papieża z Chrystusem.

o. Leon Nowak TJ

Буць хрысціянiнем - Бути хрысціянином

ПАСТИРСЬКЕ ПОСЛАННЯ З НАГОДИ 100 РІЧНИЦІ ВІД ПОЧАТКУ АБОРТИВНОГО ГЕНОЦИДУ НЕНАРОДЖЕНИХ ДІТЕЙ

Римсько-Католицька Церква в Україні
КОНФЕРЕНЦІЯ ЄПІСКОПІВ



Ecclesia Romano-Catholica in Ucraina
CONFERENTIA EPISCOPORUM

«Дозвольте дітям приходити до Мене, бо для таких є Царство Боже»
(Мк 10, 14).

Дорогі Священики та Богопосвячені
Особи!

Дорогі Брати і Сестри!

Шановні Представники Влади усіх
рівнів!

16-18 листопада 2020 року випадає 100 річниця від акту, який дав початок великій трагедії в історії нашого народу, а також в історії світового суспільства. В той самий день 100 років тому Народним Комісаріатом охорони здоров'я і Народним комісаріатом юстиції була видана постанова *«Про штучне переривання вагітності»*. Таким чином Радянська Росія стала першою в світі державою, яка легалізувала вбивство ненароджених немовлят. З того часу кількість абортів кожного року кожного невпинно зростала. Свого апогею ця ганебна і злочинна практика досягла 1964 року, коли то аж 7 000 000 жінок вдалися до штучного переривання вагітності. Нажаль після розпаду Радянського

Союзу, Українська Держава не зірвала з цієї комуністичною спадщиною і до сьогодні не створила закону, який захищав би її громадян від зачаття аж до природної смерті. За роки Незалежності в Україні було зроблено понад 30 мільйонів хірургічних абортів.

Протягом цих ста років від початку легалізації абортів у суспільстві сформувалася абортивна ментальність, яка в свідомості багатьох людей представляє переривання вагітності як звичайну медичну процедуру, яка знецінює людське життя, гідність жінки і сіє в суспільстві *«цивілізацію смерті»*. Пригадаймо слова святої Матері Терези з Калькути, лауреата Нобелівської премії миру: Якщо можна вбити беззахисну дитину, то що може зупинити людину вбити іншу людину.

Згадуючи цю сумну річницю, Ми Пастирі Католицької Церкви в Україні, прагнемо звернутися до наших Вірних і до всіх людей доброї волі з наступним повчанням і закликком:

Кожне людське життя розпочинається у момент зачаття в лоні матері і є святим даром Бога! *«Адже Ти моє нутро витворив, – уткнув мене в лоні*

матері моєї. Я Тебе прославляю, бо Ти створив мене вельми дивовижним. Діла Твої – дивовижні, моя душа це дуже добре знає». (Пс 139, 14) – так оспівує Боже діло створення Автор Псалму 139. В цих словах виражена віра Божого Народу, на якій ґрунтується біблійна антропологія. Святий Папа Йоан Павло II ці рядки називає прославленням Єванґелія життя, яка є в центрі спасенного послання Ісуса Христа (Evangelium Vitae 83).

Кожне переривання вагітності (хірургічне і фармакологічне) є порушенням V Божої Заповіді – «Не вбивай!»! Серед усіх злочинів, які людина може вчинити проти життя, переривання вагітності має риси, що роблять цей переступ особливо серйозним і гідним осуду. II Ватиканський Собор зазначив, що разом із дітогубством це – «найважливіше лиходійство» (Evangelium Vitae 58, Gaudium et spes 51). А тому, хто вдається до такого вчинку, чинить важкий гріх і не може приступати до Святого Причастя без Таїнства Примирення та Покаяння (Сповіді). Також кожен, хто підтримує і розвиває абортивну індустрію, абортивне законодавство, виключає себе з християнської віри і ставить під загрозу своє вічне спасіння!

Що ми християни можемо зробити? Варто пам'ятати, що питання захисту життя пов'язане з духовною боротьбою з силами темряви (Еф 6), а тому усім нашим суспільним акціям має передувати молитва. Заохочуємо провести молитовні чування на захист ненароджених дітей. А у наших молитвах просімо також прощення за усі злодіяння по відношенню до ненароджених дітей. Особливою молитвою у цій ситуації є Святий

Розарій, який нагадує нам ту мить, коли у лоні Пресвятої Диви Марії зачався Спаситель! Серед душпастирських дій варто розповсюджувати Молитву духовного усиновлення зачатої дитини.

Намагаймося захищати життя, кожен згідно свого покликання і можливостей. Проголошуймо Єванґеліє Життя, саме це послання любові Спасителя має силу і міць змінювати наше мислення!

Звертаємося до Представників Влади усіх рівнів! Згідно статті 27 Конституції України, кожна людина має невід'ємне право на життя. Ніхто не може бути свавільно позбавлений життя... Захистіть це ПРАВО по відношенню до тих, хто не може цього зробити, по відношенню до найменших наших громадян, які розпочали своє життя в материнських лонах!

Нехай Пресвята Діва Марія, Матір Милосердя, спомин якої припадає також на 16 листопада, у лоні якої зачалось Дитя Ісус, огорне нашу Батьківщину плащем своєї материнської опіки!

На усі Ваші зусилля, на захист життя, на проголошення Єванґелія Життя, уділяємо свого Пастирського благословення: В Ім'я Отця, і Сина і Святого Духа!

16 листопада 2020 року
N. 45/2020

Єпископи Римсько-Католицької Церкви в Україні



Dziedzictwo - Спадщина

СІОНІСТСЬКИЙ РУХ В ОСТРОЗІ У МІЖВОЄННЕ ДВАДЦЯТИРІЧЧЯ (1920-30 РР.)

Острогу на Волині належить визначне місце як в історії України, так і її єврейської спільноти. У першу чергу це стосується доби пізнього середньовіччя і початку нового часу (XVI – перша половина XVII ст.), коли єврейська громада Острога відіграла провідну роль в громадському, господарському, культурному і релігійному житті єврейства Волині і Наддніпрянщини, а наукове значення і духовний вплив острозького ешиботу виходили далеко за ці межі.

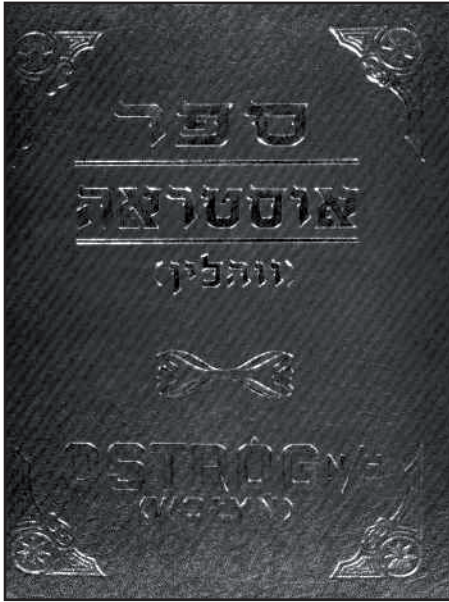
І в наступні століття єврейство Острога – простого повітового міста зі славетним минулим – жило проблемами та ідейними пошуками свого народу, його щоденною боротьбою за існування, за людські й національні права. Невіддільна і цінна, хоча майже не досліджена сторінка цієї багатомілітної історії – розвиток сіоністського руху в Острозі, місті, яке волею обставин у 1920 році опинилося на самому кордоні двох світів – польсько-радянського, який розділив навпіл волинське, і, ширше – українське єврейство, життя якого пішло у 1920-1930 роки двома паралельними потоками, хоча й не без складного взаємного впливу, а ще більше впливу відмінних соціально-політичних обставин, в яких опинилася розділена надвоє єдина раніше єврейська спільнота.

Початки сіоністського руху в Острозі і виникнення перших сіоністських гуртків відносяться до 1909 року. В



умовах поліцейських переслідувань за царату вони працювали нелегально, були малочисельними і зосереджували свою діяльність на просвітництві – вивченні теорії сіонізму, європейської історії, географії Палестини, відроджуваного івриту. Молодь збирала внески і пожертви для комітету *Novvei Zion* в Одесі, вивчала сільське господарство й оволодівала навичками землеробства для майбутньої праці на полях Палестини, організувала групу для підготовки поїздки в Ерец Ізраїль. Сіоністи активно працювали в єврейських громадських осередках міста. Ці гуртки підготували кадри здібних активістів та організаторів, авторитетних у середовищі Острозького єврейства, навіть серед індеферентної чи не прихильної до сіонізму його частини. Серед них – імена Шмуеля Шраєра, Залмана, Гершвальда, Лейбеш-пільберга, Хаїма Давідзона, Абрама Букімера, Лейбуша Бібера та ін.

У роки Першої світової війни



сіоністська діяльність ускладнювалася прифронтовим становищем Острога, підготовкою населення до евакуації на схід, загальною шпигуноманією, яка особливо боляче вдарила по євреях.

Лютнева революція 1917 року дала змогу легалізувати сіоністський рух, завдяки чому Острог отримав розгалужену мережу сіоністських організацій – як осередків політичних партій, так і громадських об'єднань. Сіоністи міста брали активну участь у перших демократичних виборах у міську думу, а згодом – до Установчих зборів. Розгорнувся збір коштів для Єврейського національного фонду. У фондах Державного історико-культурного заповідника м. Острога зберігається привітання сіоністів Острога українському товариству «Просвіта» з нагоди свята українського національного фонду (збору коштів для Центральної ради). Представник сіоністів міста виступив на цьому святі.

Сіоністський рух в Острозі набув особливого розмаху у міжвоєнне десятиріччя (1920-30 pp.), коли місто опинилося у складі відродженої Польської держави. Її законодавство давало простір для легальної діяльності національних меншин, але ставило їх під жорсткий адміністративно-поліцейний контроль. Завдяки цьому в розпорядженні сучасних дослідників є формуляри й анкети острозьких сіоністських організацій, матеріали стеження за ними, протоколи зборів, що мали направлятися до поліції, дозволи на проведення зібрань та добродійних акцій, списки активу, поліцейні характеристики активістів і керівників руху. Зберігаються вони в Державному архіві Рівненської області, у фондах польських державних установ, насамперед, відділу безпеки Острозького (з 1925 р. – Здолбунівського) – повітового староства, постерунків, міського комісаріату

і повітової коменди (управління) державної поліції. Стосовно офіційної класифікації єврейських громадських організацій, товариств, що їх дають польські урядові документи, можна виокремити найважливішу з них – за функціями, передбачуваними статутними документами. За цією ознакою в Острозі діяли:

1. Релігійні організації («Хеврох Кадишох» і євреїв-ортодоксів «Агудас Ізраель»);

2. Ідейно-виховні організації (союз сіоністів-державників, Організація сіоністів-ревізіоністів, Сіоністська організація, загальна організація сіоністів у Польщі, організація «Бріхт Гахат» ім. В. Жаботинського);

3. Культурно-освітні організації («Тарбут»);

4. Медико-санітарні організації (товариство охорони здоров'я єврейського населення в Польщі);

5. Добродійні організації (товариство безпроцентних позичок «Гемілус Хесед», товариство опіки над єврейськими сиротами і залишеними дітьми на Волині);

6. Спортивні організації (єврейський спортивний клуб «Wemria» («Варта») в Острозі);

7. Товариські організації (Єврейський клуб в Острозі, гурток студентів-євреїв Острога);

8. Жіночі організації (Сіоністська жіноча асоціація).

Отже, сіоністський рух в Острозі був представлений об'єднаннями різного політичного та ідеологічного спектру. Сіоністські об'єднання подавали свої статuti і реєструвалися як ідейно-виховні організації. Документи засвідчують активну працю їхніх активістів із більшості вищеназваних єврейських організацій, у т.ч. на

керівних виборних посадах. Це ж стосується й єврейської релігійної громади (гміни в польській юридичній термінології), секретарем якої протягом довгих років обирався Хаїм Давидзон. Надавав підтримку сіоністам, був дуже популярним в їхніх колах і міський рабин Йосиф Вертхейм, який пізніше емігрував і помер в Єрусалимі.

Сіоністи вели активну роботу в єврейських навчальних закладах (гімназія «Іврит», школа «Тарбут», Талмуд-Тора та ін.) і бібліотеках міста (імені Герша Бакімера, Палестинського еміграційного товариства, приватна бібліотека Хаїма Еркіса).

Ряд провідних педагогів міста були членами сіоністських організацій, як Мордехай Каплан, Яків Кардман, Моше Тальпін, Йосиф Фінкельштейн (діяльний журналіст), Дойзік Борак – керівник Талмуд-Тори.

Крім поширення сіоністських видань, значна увага приділялась усній агітації та пропаганді, широко використовувалися лекції і реферати. Серед кращих сіоністів-ораторів міста називають Лейбуша Бібера.

Головна увага у діяльності сіоністів приділялася роботі серед єврейської молоді, насамперед, учнівської (Острог протягом віків був «містом шкіл», збирав учнівську молодь – і євреїв, і християн – з віддалених районів, як з єврейських навчальних закладів, так і з державних гімназій і вчительської семінарії. Провідними організаціями сіоністської молоді стали «Шомер Ацаїр» (керівник Самуїл Меламед, Мойш Школьник, Цикора Кац та ін.), «Гардонія» (брати Еліау та Янкель Каплани, Цві Мандельцвайг), «Атахтод» (Лейбуш Бібер, Шломо Букімер та ін.), «Бейтар» (Гедалія Гдальський, Абрам Абельман, Барух Хасид).



Остання молодіжна організація, що була молодіжним крилом сіоністів-ревізіоністів В. Жаботинського, відзначалася особливою організованістю, напіввоєнізованим характером своєї роботи. Саме за її участі поліцейські документи фіксують більшість сутичок в єврейському і сіоністському середовищі Острога на ґрунті ідеологічних суперечностей і планування подальших перспектив.

Незважаючи на внутрішні суперечності, всі сіоністські організації міста протягом міжвоєнного двадцятиріччя своє головне завдання вбачали у підготовці переїздив на землю Палестини і підтримці вже існуючих там єврейських поселень. Значну активізацію сіоністського руху в місті викликала декларація Бальфура. Відбулися масові демонстрації на підтримку цієї декларації, як і демонстрації протесту проти погрому 1920 року в Єрусалимі і безпорядків у Яффі того ж року. Тоді ж до Палестини виїхала велика група активістів з Острога. Серед перших євреїв, що відбули в Палестину, був рабин Яків-Фішл Фельднкрайз із дружиною Деборою, до 45 років він знав тільки працю з книгами, а в Палестині проявив

себе як визначний організатор аграрної праці, який досяг значних успіхів у вирощуванні й експорті цитрусових, що зміцнило економічну базу єврейських поселень. Він загинув у 1921 році від рук арабського терориста. Інша справа, яка об'єднувала всі організації, незважаючи на ідеологічні розбіжності між ними, це була боротьба проти наростаючого в польському суспільстві воявничого антисемітизму.

Репресії з боку органів НКВС після 17 вересня 1939 року завдали тяжкого удару по сіоністському руху в Острозі. Сіоністські організації були заборонені, їх майно та архіви вилучені. Десятки активістів були заарештовані, депортовані, або фізично знищені. Так, у Львові загинув після арешту лідер острозьких ревізіоністів і бейтарівців Гедалія Гдальський. Частині сіоністської молоді Острога в перші дні Другої світової війни вдалося через Литву емігрувати на захід, а звідти – в Палестину.

Ряд сіоністів Острога, які вцілили під час радянських репресій, загинули в гестапівських застінках або під час масових акцій Голокосту. Янкель Каплан, якому вдалося вирватися з гетто, загинув у партизанському загоні.

Рафайл Шпізель
Микола Манько

Джерело:

«Доля єврейських громад центральної та східної Європи в першій половині ХХ століття». Матеріали конференції 6- 28 серпня 2003 р., Київ. // <http://judaica.kiev.ua/old/Conference/Conf2003/34.htm>



Буць хрысціянiнем - Бути хрысціяніном

ПОСЛАННЯ ЄПІСКОПІВ РИМСЬКО-КАТОЛИЦЬКОЇ ЦЕРКВИ В УКРАЇНІ

З НАГОДИ СВЯТА СВЯТОГО СІМЕЙСТВА – 27 грудня 2020 року

Дорогі Брати і Сестри!

Переживаючи свято Святого Сімейства, керуємо наш погляд до маленького містечка в Галілеї, де в тиші і покорі зростає Божий Син, зростає в людській родині. Саме туди, у дім Святого Сімейства, тягнуться укриті коріння Церкви, яка, занурюючись в атмосферу Назарета, зростає і розвивається, стаючи Церквою вбогою, смиренною, Церквою родинною, Церквою назаретською. В людській родині, в домі Діви Марії і простого робітника Йосифа розпочинається Новий Завіт Бога з усім людством. Бог обрав сім'ю для свого найвеличнішого одкровення, для об'явлення своєї найбільшої любові. З того часу сім'я є місцем Теофанії! Переживаючи цю Таємницю, в душі пастирського піклування і любові, прагнемо пригадати це покликання і цю величну місію!

1. Родина є божою інституцією, основана на подружжі чоловіка і жінки, відкритих на дар життя, покликана бути образом Єдиного Бога в трьох Особах, який є Любов'ю. Бог створив людину як чоловіка і жінку, а благословення, яким була обдарована перша людська родина, було благословенням життя: Будьте плідні й множтеся (Бут 1, 27-28). Тим, що чинить з людської особи автентичний образ Пресвятої Трійці,

є ЛЮБОВ! Любов, яка виражається у безкорисному особовому даруванні і цілковитому прийманні цього дарування. Чоловік і дружина, які живуть в подружжі, обдаровують себе не якимись матеріальними речами, чи якимись послугами, а дарують собі взаємно всю свою особу і все своє життя. Такий дар є можливим завдяки благодаті Таїнства Подружжя, в якому звершується Пасхальна Тайна – смерть і воскресіння Господа Ісуса Христа! Чоловік вмирає для себе самого, щоб жити у своїй дружині, і навпаки дружина вмирає для себе, щоб жити в своєму чоловікові.

В зв'язку з цією біблійною істиною на тему родини, яку Господь об'явив у своєму Слові, ми рішуче відкидаємо усе те, що цій істині противиться, все те, що вдаряє в серце подружжя і сім'ї, зокрема гендерну ідеологію і будь які спроби її юридичного просування. Закликаємо також усі подружжя дбати про єдність, яка виражається у перебуванні разом. Це перебування разом в добу глобальних процесів та міграцій є особливо наражене на небезпеку, проте благодать подружжя та необхідність фізичної присутності батьків для нормального виховання дітей вартує того, щоб за неї боротися.

2. Родина є домашньою церквою. Це бачення родини як «домашньої

Церкви» сягає глибоко до біблійної традиції. Вже в Старому Завіті сім'я була фундаментальною спільнотою передавання віри, а батько родини очолював найважливіше свято Ізраїля – Пасху. Під час пасхального седеру він розповідав оповідання про Вихід, а також свідчив, що Господь і зараз звершує свій перехід від неволі до свободи, від смерті до життя. Це розуміння родини як літургічної спільноти продовжується і набирає нового значення в світлі Пасхальної Тайни – смерті і воскресіння Ісуса Христа.

Вираз домашня Церква вперше вживає Святий Павло Апостол. Так він описує спільноту, яка збиралася в домі Акили і Прискили (1Кор 16,19), Нимфи (Кол 4,15), Филемона (Флм 2) і Гая (Рим 16,23). Родинний дім для перших християн був місцем молитви, псалмодії, а також і звершення Євхаристії. Науку Апостола Павла продовжують Отці Церкви. Святий Йоан Золотоустий називає родину «малою Церквою» (еклесіола), вказуючи на її обов'язки: Молитва і навчання в Церкві не достатні. Мусять вони теж супроводжувати нас в дома, адже дім є малою Церквою. Святий Климентій Александрійський вказує на подружжя, як на мале царство (мікробазілея) і «дім Господа». В цій домашній Церкві – згідно слів Святий Августина – отці сімей являються ЄПИСКОПАМИ – і мають особливо дбати про віру своєї родини.

В умовах карантину, якого зазнаємо вже майже протягом року, коли багато вірних мають трудність взяти участь в Євхаристії, СІМ'Я стала місцем, де в особливий спосіб уприсутнюється Таїнство Церкви. А тому палко заохочуємо усіх Вас до родинної молитви, до родинного читання Божого

Слова і катехези. Можна знайти багато добрих та цікавих конференції та повчань на католицьких ЗМІ: Радіо Марія, Телебачення Віковичного Слова, Кредо, Родина, Католицький Медіа Центр...

Важливою дійсністю родини як «домашньої Церкви» є те, що Новий Завіт називає грецьким словом койнонія. Цей вираз можемо перекласти як спільнота, єдність, але він також означає СПІЛКУВАННЯ. В цифровому світі, а особливо тепер, коли наша активність обмежена карантинном, дуже важливо виборювати час на якісне, живе спілкування у наших родинах! Нехай протягом дня буде час, який Ви проводите разом, без інтернету, без смартфонів, без соціальних мереж, час реальний, а не віртуальний. На початку він може важко даватися, проте будьте витривалими, і ми впевненні, що зможете зазнати плодів такої практики.

3. Родина є місцією. Завданням християнської сім'ї є проголошення з радістю і переконанням Доброї Новини про сім'ю – повчав Святий Йоан Павло ІІ. Це проголошення перш за все полягає в свідочстві любові і єдності, знаку, який притягує до віри тих, хто ще не пізнав Ісуса Христа і Його любов. Проте, щоб бути таким знаком, наші родини мають бути глибоко занурені у християнську формацію, у життя Церкви, черпаючи з тих скарбів, які вона, як Любляча Мати дає своїм дітям. Сім'я, яка глибоко зазнала любові Бога в Христі Ісусі, сама стає наче видимим Євангелієм, живою проповіддю, живим запрошенням інших людей до спільноти радості, яку може подарувати лише Господь.

Пам'ятаймо, що сім'я поміщена в центрі грандіозної боротьби між добром та злом, між життям і смертю, між любов'ю та всім тим, що їй

протистойть. Сім'ї доручено боротися і перш за все звільнити сили добра, джерело яких міститься у Христі, Відкупителі людини. Кожній сім'ї потрібно зробити ці сили своїми (Йоан Павло II, Лист до сімей 23).

4. Родина під покровом святого йосифа. Коли наставали важкі часи для Церкви, Божий Народ особливо звертався про допомогу до Святого Йосифа. Так чинили Римські Понтифіки, які керували Вівчарнею Господа у переломні часи. Можна тут згадати про Лева XIII, Пія XI, чи Святого Йоана Павла II. У чому причина такої великої довіри? Лев XIII пояснює наступним чином: «...Святому Йосифу більше, ніж будь-кому іншому, належить тепер своєю небесною міццю охороняти і захищати Христову Церкву так, як колись найсумлінніше охороняв Родину з Назарета, коли виникала така потреба».

Конференція Єпископів Римсько-Католицької Церкви в Україні оголосила рік 2021 Роком Святого Йосифа – Покровителя Церкви. Цей рік вже розпочався, тому що Святіший Отець Франциск вирішив запросити Вселенську Церкву переживати рік Святого Йосифа від 8 грудня 2020 року. В епоху, коли ставиться під сумнів батьківство, батьківський привілей виховувати своїх дітей, в епоху великої кризи батьківства, в часи, коли життя Ісуса і Його присутність в наших родинах знаходяться під загрозою, хочемо просити про допомогу того, у кого сам Христос знайшов надійний захист. Йому довіряємо наші родини і просимо про заступництво.

Всі присутні відмовляють акт довірення себе та своїх сімей Святому

Йосифу /його слід раніше дати вірним/. Відмовляють акт безпосередньо після відновлення подружньої присяги або в кінці Служби.

Приходимо до тебе, Святий Йосифе, у нашій неволі. Звертаючись за допомогою до твоєї Пресвятої Обручниці, з вірою благаємо й про твою поміч. Заради любові, яка єднала тебе з Непорочною Дівою Марією, і заради твоєї батьківської турботи, якою ти оточував дитину – Ісуса, смиренно благаємо: милостиво поглянь на людство, яке Ісус спас власною Кров'ю, і своїм могутнім заступництвом допоможи нам у потребах наших. Опікує Святого Сімейства! Піклуйся про вибраний народ Ісуса Христа. Віддали від нас, любий отче, всіляку хворобу, блуд і зіпсуття. Наш могутній заступнику! У боротьбі з силами темряви прийди до нас із небесною допомогою, і, як колись ти врятував маленького Ісуса від Ірода, так і тепер охороняй святу Церкву Божу від ворожих підступів та всілякого зла. Невтомно оточуй кожного з нас піклуванням, щоб ми за твоїм прикладом і з твоєю допомогою досягли вічного блаженства в небі. Амінь.

Конференція Єпископів Римсько-Католицької Церкви в Україні

24 грудня 2020 року
N. 58/2020

Послання слід прочитати, а також провести обряд сповідання віри та відновлення подружньої присяги в усіх парафіях України у Неділю Святого Сімейства 27 грудня 2020 року.



Dziedzictwo - Спадщина

ШПИЛІ КОСТЕЛІВ З ТУМАНУ НЕБУТТЯ



Неіснуючий костел в Березному

Фом. Shtetl Routes

Історія минулого Березнівського краю приховує в собі факти діяльності релігійних напрямків, котрі не дочекались сьогодення. Однією з таких релігійних течій був католицизм, діяльність громад якого займала не останнє місце у релігійному житті району. Знову ж таки причиною зникнення його харизматичних осередків та, власне, самих громад стала жорстка політика радянського світогляду. Саме тоді закривались та знищувались культові споруди, громади розвіювались по світу – у небуття канули цікаві елементи багатогранності релігійного простору нашого краю.

Прогулюючись духовними стежками Березнівщини, часто спіткаюся за обросле каміння розбитих святилищ та вівтарів. Хотілося б згадати про релігію, котра залишилася лише історією краю і цим самим запалити свічу пам'яті, хоча, можливо, й чужим для нашого сучасного поліського ортодоксально-релігійного світогляду, католицьким святиням, від яких залишились або руїни, або лише історичні довідки та людські перекази. З історії, наче з туману видніються готичні шпилі та бароково-притуплені дахи «загиблих» за часів війни та антирелігійної радянської пропаганди костелів, як поминальні свічі недослужених мес,

недоплаканих молитов, недочитаних розаріїв... А ще до середини ХХ ст. на території Березнівщини існували католицькі осередки, при яких повноцінно функціонували культурні споруди, певна кількість віруючих та священнослужителів, проводились священнодійства. Зокрема, до 1960 року м. Березне мало свою парафію на честь св. Кайетана, яка була створена в 1816 році. Парафія включала території населених пунктів, котрі входили до Березнівської, Людвипольської, частини Сарненської та Костопольської гмін. Із сучасного Березнівського району на той час парафії належали такі місцевості: Березне, Білка, Богуші, Бронне, Цегельня, Холопи (Прислучі, Колодязне), Чорніло, Дерманка, Друхова, Городище, Ільніки, Яблунне, Кам'янка, Князівка, Кургани, Липники, Лізіно, Лінчин, Лукавець, Новини, Моквин, Очеретянка, Орлівка, Поляни, Сороковка, Сільце, Теклівка, Тишиця, Вітковичі, Залісся, Зірне. За статистичними даними ще в 1938 році парафія св. Кайетана налічувала 2600 вірних, в самому м. Березне проживало 66 католиків.

Останній діючий костел на Березнівщині знаходився у самому **Березному** і був зруйнований руками представників радянської антирелігійної кампанії в 1960 році. Від 1749 року храм відносився до Тучинської парафії Луцької діоцезії, а від 1765 – отримав ранг парафіяльного храму. Парафіяльний костел святого Кайетана став нащадком його передвісника глибокої віри його релігійної громади – дерев'яного костелу побудованого приблизно в 1616 році каштеляном Брацлавським Миколою Семашком. Проте, під кінець ХVІІ ст. ця сакральна споруда була зруйнована татарами та козаками. 1717 рік в житті католицької

громади датується як відбудова святині, а оснащив її Ян Данилович.

Новий кам'яний костел уже з правим та лівим вівтарями, побудований у 1813 році поміщиком Михайлом Коржанівським та його дружиною Анною з дому Богатько, став достойною заміною старенького дерев'яного. В 1826 р. відбулася його консакрація (освячення) єпископом Яном Посгородинським. Чому освячення пройшло так пізно – не відомо, можливо була добудова. Опис оснащення, що знаходився при храмі було зроблено 9 квітня 1921 року і висвітлено в Протоколі єпископської комісії (сам документ зараз знаходиться в Любліні).

Останнім настоятелем костелу св. Кайетана до 1945 року був Мечислав Россовський (перед ним був ксьондз Вацлав Батовський), котрий залишив громаду 1 червня після останнього святкового Богослужіння. Після виселення поляків із міста в червні 1945 року костел був розкрадений зсередини та знищений місцевими варварами. Крім костелу в Березному була кам'яна каплиця. Після 40-х років представники місцевої радянської влади розібрали до фундаменту костел та каплицю, – обидві споруди пішли в небуття разом з польським кладовищем, котре було замінено на міський парк.

Крім парафіяльного костелу св. Кайетана в Березному існував іще ряд святинь західно-релігійної обрядовості, зокрема, філіальний костел у с. **Моквин**, котрий був побудований в 1750 році на честь Воздвиження Хреста. Фундаторами цього храму, як і каплиці, що була побудована в цій місцевості, була родина місцевого магната Станіслава Любомирського. З історії села відомо, що в 1594 році власником села став Олександр



**Філіальний костел у с. Моквин,
колись палацова каплиця**

Валевских *Фот. <https://kresy.pl/>*

Семашко – каштелян Брацлавський. Слід зазначити, що саме він один з перших на Волині, за сприянням єзуїта Гербса, перейшов у католицьку віру, тому костел в Моквині мав уже соціально-релігійне підґрунтя. В 1830 році католицький храм був освячений єпископом Каспером Цицішовським. З 1945 р. слугував колгоспним складом. Нині це лише доживаюча руїна – кривава рана іще недавньої бездуховності наших попередників.

До 1943-1945 років минулого століття існував ряд костелів та каплиць при католицьких громадах в населених пунктах Березнівського району, де мешкали поляки, як осередки не лише своєї культурної національної спадщини, а, в першу чергу, як пам'ятники глибокої віри, що, можливо, єдина не підвладна ні знищенню, ні політично-соціальному змінам, ні релігійним різнопоглядам. Всі ці святині були знищені під час Другої Світової війни, хаосом якої

для своїх вандалістичних справ скористувались не лише фашисти, а й місцеві «будівники» світлого майбутнього без «елементів» «опіуму для народу». На сьогоднішній день деякі з костелів не залишили після себе жодної згадки крім переказів та історико-документальних джерел, а від деяких залишилися поодинокі камені підлоги, стін, вівтарів...

На території Березнівського району було досить багато осередків західно-християнської традиції, котрі підтримувались місцевими поміщиками з польським родовим корінням. в багатьох населених пунктах були побудовані або костели, або каплиці, котрі станом іще на 1939 рік підтримували свій духовно-суспільний та культово-релігійний благоустрій.

Людвипіль, місто. Прихід з 1923 року, віруючих 2.538 (тут і далі станом на 1939 рік). Дерев'яний костел Найсвятішого Серця Ісуса, побудований в 1925 році і знищений в 1943 році.

Мишаківка, село, гміна Людвипіль. Прихід з 1924 року, віруючих 1.521. Дерев'яний костел, що був знищений у квітні 1943 року.

Малинськ, селище, гміна Степань. Костел у стилі бароко з 1670. р., котрий володів чудовим образом Матері Божої – копія образу в Олиці, привезений поміщиком Радзивілом з Палестини. Костел розширено в 1770 році, а в кінці XIX ст. відновлено його і пофарбовано. Про знищення цього костелу поки що нічого не відомо, але вже в 1938 р. за проектом Едварда Войновича почалося будівництво в селі нового костелу, котре так і не завершилось. Крім костелу в Малинську була іще дерев'янна каплиця з 1918 року, що належала приходу Казимірка. Знищена в 1943 році.

Регінівка, колонія, гміна Березне. Прихід з 1938 року, віруючих 1.920. Дерев'яний костел, збудований в 1929 році. Був знищений в 1943 році.

Рудня Яцьковицька, колонія, гміна Людвипіль. Прихід з 1924 року, віруючих 5.227. Кам'яний костел святого Юзефа Нареченого Пресвятої Діви Марії, побудований на місці дерев'яного в 1938 році. Приходським священником був ксьондз Юліуш Януш. Костел був знищений в 1944 році.

Бистричі, село, гміна Людвипіль. Кам'яна каплиця, що з 1849 року належала приходу Людвипіль. Повністю знищена після 1945 року.

Дерманка, колонія, гміна Людвипіль. Прихід з 1932 року, віруючих 1.907. Дерев'яний костел святого Изидора Ролника був спалений в червні 1943 року.

Гута Стара, село, гміна Людвипіль. Прихід з 1935 року, віруючих 1.867. Кам'яний костел на честь Матері Божої Ченстоховської. Знищений після 1945 року.

Левачі, село, гміна Людвипіль. Прихід на честь Пресвятої Діви Марії, Королеви Польщі з 1928 року, віруючих 2.597. До парафії громади належали Левачі, Хільки, Нова Гута, Якубовка, Козярнік, Мокра Нива, Помяри, Пипло, Рудня Стрийська, Сівки, Воронівка. Дерев'яний костел, котрий був знищений після 1945 року. Дослідник О. Романчик у своєму дослідженні про село Левачі вказує на повноцінну активну діяльність місцевої католицької громади *«костел був огорожений дерев'яним плотом з вхідною брамою на чотирьох стовпах з чотирисхилим дахом, критим колотою сосною гонтою. По дорозі до села Сівки, за селом у дуже мальовничому місці знаходиться парафіяльне кладвище. Тут поховані жителі багатьох*

довколишніх польських сіл та хуторів. Цвинтар був огорожений, а на могилах, в основному, стояли дерев'яні хрести». В 1945 року після знищення цього населеного пункту польська католицька громада була депортована на історичну Батьківщину, а культова споруда була розібрана радянськими активістами, перевезена до Соснового (тоді ще Людвополя), де стала просто будівельним матеріалом для місцевої лікарні.

В с. **Карачун** ксьондзом Юзефом Шчастни з приходу Казимірки в квітні 1943-го була побудована каплиця, в яку перед знищенням свого приходу він вивіз головну святині костелу. Така ж католицька капличка, побудована поміщиком Малинським, функціонувала і на території с. **Зірне**. Обидві святині були знищені у післявоєнний період.

На сьогоднішній час в Березнівському районі немає жодної католицької парафії. Існує лише невеличка група людей західно-обрядового віросповідання, котрі є членами католицьких релігійних громад Костополя та Рівного.

Ось так. Була абсолютно повноцінна релігійна система, а сьогодні тільки рештки історії. Каменю на камені не залишилось – яке актуальне пророцтво Христа! Ні, не конкретно про костел у Малинську чи каплицю в Бистричах, швидше – про руїну нашої духовності та мертвої самосвідомості нас людей як посередників між небом і землею. Немає на світі кровоточивішої рани, як зруйнований храм – не важливо якої конфесії, адже це єдине пристанище душі кожного, не залежно від нації та віросповідання.

Ірина Баковецька



Literatura - Airepatypa

Ułás SAMCZUK
 W O Ł Y Ń. Powieść w trzech tomach
 tom II: WOJNA I REWOLUCJA
 WOJNA III



Ułás Samczyk

Fot. Wikimedia Commons

Zbliżał się czas szkoły. Czy będzie nauka w tym roku? Wołodźko, po dłuższym czasie postanowił odwiedzić nauczycielkę. Przyszedł. Zaszedł na ganek, zastukał. Cisza. Nikt nie odpowiada. Zastukał ponownie. Potem jeszcze raz i jeszcze, ale w szkole pustka. Poszedł do stróża.

– E, chłopcze! Nauczycielka już dawno wyjechała. Nie będzie szkoły. To się Wołodźkowi, zupełnie, nie spodobało.

To znaczy, że przez całą zimę, w domu. I Hanki nie zobaczą. I tak, nie widział jej, przez całe lato. Jeden raz, w cerkwi ją zauważył, ale nie patrzył na nią. Wydawało mu się, że gdy na nią popatrzy, zwróci uwagę wszystkich ludzi. Zresztą, o mało jej nie zapomniał. Wspomnienie o niej, dla niego, związane jest tylko, ze szkołą. Ot, siedział sobie na ławce drugiej klasy i nie raz, gdy nie było co robić, oglądał klasę. Ciekawe było, oglądanie twarzy, dlatego uważnie się im przyglądał. W większości, twarze nieciekawe, blade. Jedyna twarz, która zwracała uwagę, to – Hanki. Te „szelmowskie” oczy. Takie ruchliwe i błyszczące. Chce się na nie patrzeć. Czoło, ciekawe i nos, rozumny. Nawet, jej piegi, mu nie przeszkadzały. Przeciwnie. Wręcz wydawało się, że przez to, koloryt jej twarzy, był bardziej pociągający.

Ale to tylko w szkole. Gdy wyszedł z niej, gdy poszedł w pole, żył pracą... Gdzie tam, myśleć o Hance. I tylko na widok szkoły, gdy była połowa sierpnia, mimowolnie przypomniła mu się Hanka. Ach, jakby chciał ją znowu spotkać, wyjść w pole, za las, tam na to miejsce, gdzie kiedyś siedział na pniaczku i patrzył na jezioro. Było wtedy, jakże przyjemnie. Odczuwał soczystość życia, odczuwał wiosnę. Wracając ze szkoły, Wołodźko zauważył w dolinie wielki ruch. Z zachodniej strony, z góry, powoli ciągnął pochód. Nie, to nie haliczanie. To prawdziwy pochód – Moskale. We wsi, rozpoczął się

zgiełk. W krótkim czasie, każde podwórce miało gości. Obóz, rozmieszczał się po chatach. W szkole, zatrzymał się sztab. Na tablicy, napisano kredą: sztab takiego to, a takiego, obozującego, dywizjonu. Pocwałowali po wsi, jeźdźcy. W dolinie, zatrzymały się kuchnie i wozy sanitarne.

Wołodźko, patrzył na wszystko zaciekawionymi oczyma, a potem śpieszył do domu, by sprawdzić, czy – „*i u nas są*”. – A co, jak nie ma? Wołodźce, bardzo na tym zależało, aby i do nich, podjechało kilka wozów. Nowi, weseli ludzie. Śpiewy, harmonia, zupa żołnierska, znacznie smaczniejsza, od swojej juszki, jedzona z kociołka, nabierana szeroką, żołnierską łyżką.

Niestety, do nas tabor wojskowy nie dojechał. Na dermańskich chutorach, nie było ani jednej podwoły. Dlatego, gdy nadszedł wieczór, Wołodźko, Chwedot i cała armia im podobnych, udała się do wsi sąsiedniej, za zakrętem. Tam rumor, jak na jarmarku. Akurat moskale dostawali kolację. Z wszystkich stron wsi, szli doliną z wiadrami po zupę i porcję wołowego mięsa. Koło kuchni, wielkie balie porcji, nanizanych na małe patyczki drewniane. Każdy wojak, dostaje do swej „*menażki*”, kilka czerpaków zupki, łyżkę gryczanej kaszy i porcję wołowiny. Niektórzy, dostawali bezpośrednio do „*menażki*” i od razu siadali na ziemi i jedli. Niektórzy, nie dojadali. – Ej, chłopcy – kto ma ochotę zjeść zupy?.. Chłopcy, nie byli głodni, ale, kto odmówi takiego smakołyku, jak „*zupa moskiewska...*” Każdy, ma ochotę spróbować. Wtedy wojak brał „*menażkę*” i jeszcze raz, szedł do kuchni. Tam, dostawał jeszcze jedną porcję, którą z apetytem zmiatali młodzieńcy. Po kolacji, „*wodopój*”. To także ciekawe zjawisko. Ze wszystkich podwołek, prowadzą konie do źródła. Przy jednym jest mało miejsca, dlatego podzielili wojaków na re-

jony. Każdy rejon, ma swoje źródło. Tam krzyk, przekleństwa, rżnie koni. W krótkim czasie, konie tak rozkopały ziemię, że do źródła nie było dojścia. Po pojeniu, zabawa. Na szerokim wygonie, utworzono „*krąg*”. Przed kręgiem, długa ława. Na ławie, z rozciągniętymi instrumentami, harmoniści. Naokoło, mur szarych szyneli, grube czerwone pyski, z wyszczerzonymi zębami. Zadartonosy, czarnobrewy Wańka, przy dźwiękach harmonii, „*wybija trepaka*”. Jego nogi, ręce i całe ciało, podrygują, jak w obłądzie. Przysiada, klaszcze dłońmi po cholewach, potem po szczękach i ustach. Dalej i dalej, pokazuje wciąż nowe i nowe wykretasy. Kręcąc się jak bąk, na jednej nodze, staje do góry nogami i tańczy na rękach. Wojacy zadowoleni, szczęśliwi. Niektórzy, pokładają się ze śmiechu. A gdy skończył się trepak, wystąpił opowiadacz. „*Za górami, za dolami, za szerokimi morzami, za uspio-nymi lasami, w sławnym królestwie-pań-stwie, żył-był sławny car władca – Matwiej o przydomku Burundaj...*” – szybko, z miejsca rozpoczął opowiadacz, zsunął swoją furazerkę na potylicę. Nad sklepieniem czoła, czub, kołnierz bluzy, rozchełstany. Lewa ręka u boku, prawą wyciąga nad głowę, jak nahajkę. Słuchacz zamilkli, jak kamień. Dochońny głos opowiadacza, dźwięczy, jak dzwon. Nad wszystkim, niebo czyste i świetliste. Na zachodzie, dogorywa wielki pożar. A żołnierz opowiada, jak car, Matwiej Burundaj zamarzył, aby zdobyć za żonę piękną, morską cesarżową, władczynię morską, oceanów, z wielkimi bogactwami, skarbnicami i podwodnymi cesarstwami, oraz państwami. Podwodna piękność, ma włosy z czystego złota, oczy z najpiękniejszych agatów, ciało barwy bursztynu. Pocałunek jej ust był gorący, niby dotyk rozpalonego żelaza. Ale żaden z tych wszystkich, najpiękniejszych rycerzy, bohaterów

i kozaków-atamanów, nie mógł zdobyć jej przychylności. Tylko groźny car Burundaj, który panował na wszystkich kontynentach, nad wszystkimi zwierzętami ziemi, wszystkimi podziemnymi górami, postanowił ją zdobyć. – Tak – rzekł Burundaj, – krew z nosa niech popłynie, umrę, a moc swoją pokażę! Morza i oceany, wyleję na brzegi, a z rzek podziemnych, spuszczyć wszystkie wody, aż wyłowię tę „szelmę” – piękną carycę! Ach, jaka wybuchła wojna! Sucha pystynia i morze, stanęły naprzeciw sobie, i uderzyły! Zwierzęta ziemne i morskie stwory, starły się w straszliwym boju. I car zwyciężył! Pojmał w niewolę, w jej pałacu, z drogich kamieni i kryształów i rzucił półmartwą carycę na swoim tronie... W trąby wtedy trąbili, w dzwony dzwonili, armaty uderzyły dwadzieścia jeden razy! Przesłał car, Burundaj, na cały świat, orędzie. Wino, ciekło rzeką, potrawy zamorskie rozdawali, muzycy grali, na chwałę wielkiemu władcy i panu. I przy tym ja byłem, miód i wino i piwo piłem, aż ciekło po brodzie, ale do ust nie wpadło! – energicznie potrząsnął głową opowiadający i zakończył opowieść. – Brawo, Anisko! – zagrzmiało z wszystkich stron. Brawo! Brawo. Ot, sukin syn! Za tego... jak jego! Za sułtana! – krzyczą, z wszystkich stron. Dawaj, opowiadaj bracie o sułtanie! Opowiadaj! – O sułtanie, jak o sułtanie, – obcierając czoło dłonią i zmieniając ton i mowę, zagadał Onisko... Najpierw, mówił mieszaną gwarą moskiewsko-ukraińską. Ostatnie zaś słowa, pomieszał z powolną gwarą połtawską. – wychodzić tu, kozacy! – krzyknął.

– Ognisko i stół ! Zapalić ognisko! I dziesiątki wojaków rzuciło się, aby rozpalic ognisko. Drewno było już przygotowane. Zapalili suchy chrust i płomienie zamrugały, na żołnierskich twarzach. Pojawił się stół, lampa, jakaś książka. Wy-

szło z tłumu z tuzin kozaków i bez słowa, zajęli miejsce wokół stołu. Jedni stoją, inni siedzą, jeszcze inni, oparci brzuchem o stół, na w pół leżą. Cisza. Zaczyna się występ – przedmowa : – Sławni kozacy! Wielki sułtan, władca turecki, grecki, macedoński i egipski, wysłał do was swoich posłów, z pismem. – Go-go-go! Dawaj go tutaj! Przychodzą posłowie. To wojacy, w szynelach wywróconych, z głowami, obwiązanymi ręcznikami. Jeden z nich, buńczucznie rozwija długi papier i dźwięcznym, potężnym głosem, powoli oznajmia: – Ja, wielki sułtan turecki, grecki, macedoński, i egipski władca, ...namiestnik taki to, a taki Allacha, itd. Olbrzymia widownia zamarła. Nie słyhać ani jednego dźwięku. Wojacy, dziewczęta, dzieci – wszyscy zaniemówili z ciekawości, wszyscy wspinają się na palce, aby choć jednym okiem zobaczyć niebywałą komedię. Wśród wielkiej ciszy, słowa sułtańskiego posłańca, brzmią uroczystym natchnieniem. Płonie ogień. Twarze tych, co mają szczęście stać z przodu, pałają ognistym blaskiem. W bezwietrznej przestrzeni, dym gęstym słupem, wznosi się w górę, i tam, gdzieś pod gwiazdami, rozplywa się w ciemno-stalowym sklepieniu. Kozacy wysłuchują orędzia, i rozpoczynają pisać odpowiedź, rozsiadając się wkoło, pośród rechotu. Z środka koła, wyrwa się: – Macedoński dureń! – Cha-cha-cha – jednym głosem, ryczy tłum. – Świńskie ucho! Cha-cha cha! – gogogo!... Kobyli ogon! Cha-cha-cha! – A naszego Boga błazen. Cha-cha-cha! Daty nie znasz, bo kalendarza nie masz, księżyc na niebie, a dzień taki u nas, jak i u was! – pocałuj nas gdzieś!... Tu już dziewczyny, panny, brodaci wojacy, aż pokładają się do ziemi, trzymają za brzuchy i rechoczą – rechoczą...

Pisał list, ten sam Onisko, który wcześniej opowiadał o Burundaju. Wołodzko-

wi on wydał się kimś nadludzkim. Przebił się naprzód, stanął w bardzo niewygodnym miejscu, bo z wszystkich sił, musiał powstrzymać napór z tyłu, od czego aż mdlały i trzęsły się nogi, ale mimo tego, nie przepuścił, ani jednego słowa, zdawało się, że ani jednej zmarszczki, na twarzy narratora.

Potem, rozpoczęła się ogólna hulanka, w rytm rozbrzmiewających taktów harmonii. Wojacy chwytają dziewczyny, mocno ściskają je dużymi rękami i wykrzykują w rytm burzliwej polki. Okrzyki, świsty, dziewczęce piski, roznoszą się ponad doliną. Wszedł wielki, nadęty księżyc i zatrzymał się nad olchami dworskiego stawu. Płonie ognisko. Podrzucane do niego, grube polana, jakby wybuchają snopami iskier, dźwięki harmonii ulatują z tłoku, na wolną przestrzeń i rozplývają się po dolinie, razem z przyciągającą luną. Późno w nocy, wracał Wołodźko z kolegami, do domu. Po dolinie, po drodze, nie zważając na późną porę, płatali się wojacy. Gdzieś tam, słyszało się kobiece chichy i chachy. Gdzieś, na drugim wzgórk, pobrzmiwał głośny dziewczęcy rechot: „*Cha-cha-chaaaa!*” – i aż się jakby gdzieś, potoczyło.

Noc była jasna, chłodnawa. Z nieba, zrywały się i padały na czarną ziemię, odbłyśki. Na trawie, chłodna rosa. Chłopcy ziębną, potrząsają ramionami, szybko przebiegają, bosymi stopami, po rosie. Przed nimi, mienia się kolorami, kurki dziewcząt. Chłopcy, przyspieszyli. Te wyczuły, że chcą ich dogonić i też przyspieszyły, aż poniosły się odgłosy trzepoczących, drobnych stóp. Chłopcy, jeszcze wzmogli, tempo. Biegną, pokrzykują, jeszcze moment, jeszcze chwilka... – Oj! Co ty! Ja ci dam! Jak powiem mamie, to zobaczysz! Wołodźko, też się rozochocił. Wykrzyknawszy coś, wpadł w sam środek dziewcząt i nawet odważył się jedną

chwycić za ramię. Ta ostro, przenikliwie zapiszczała i Wołodźkowi ręce się odsunęły, jakby dotknął czegoś gorącego. ..To była Hanka. Poznał ją wyraźnie, ale się nie zatrzymał, nie wyrzekł ani słowa, lecz ile sił, wyrwał się do przodu, niczym dziłki koń. Za nim, pobiegli wszyscy chłopcy i dziewczęta. Biegiem, biegiem do przodu! Biegli w górę, koło szkoły, obok kilku chat, minęli chatę diaka. Wołodźko zatrzymał się, gdy był za wsią, przed swoim chutorem. Chwedot, biegł za nim. Obydwaj się zasapali, zgrzali. Chwedot, chciał o czymś porozmawiać, ale Wołodźko nie miał chęci na pogawędkę. Przeżycia tego wieczoru, wywarły na nim wielkie wrażenie. Jeszcze nigdy w życiu, nie spotkał ciekawszego opowiadacza i ciekawszej „komedii”. Potem tańce i... i ach, właśnie – Hanka!... Czy go zauważyła? Prawdopodobnie, nie. ...Na pewno, nie. On, biegł tak szalenie... Nieco nieprzyjemnie, zabrzmiały mu słowa pewnego, swojskiego „*Moskala*”, który był ranny i przyszedł „*na poprawkę*”. – Sukinsyny! – pomstował. – Kaszożery mordate! Czy oni wiedzą, co to wojna? Oj, zebrałbym ich diabelską cholołotę i posłał na pierwszą linię, tam by jeden z drugim, zahulał... – Po co tak się złościć, myślał Wołodźko. Musi przecież, ktoś być, i w obozie. Nie wszyscy, na pierwszej linii... – To są sami wyjadacze, – jak mówi Eugen Pałamar. – Patrzcie, jakie mordy, wybić ich, jak szcziury, powchodzili do „*trzeciego rzutu*” ...A na front pchają dzieciarnię i „*białobiletczków*”. Eugenowi, prawda, oderwało lewą rękę, ale mimo tego „*nie całkiem*”, zwolnili go do domu. Więc on przeklinał wojnę „*na czym świat stoi*”...

Wołodźko, całkiem inaczej patrzył na te sprawy. Nawet oderwana ręka Eugena, nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Rozmach przedstawienia, jego romantyka, wzniosłość i jakieś swoiste piękno,

go zniewoliły, otumaniały rozum; wszystko, co przeczytał, wszystko, czego nauczył się w szkole, zeszło na jakiś czas na bok, a przed nim został w swej wielkości i pięknie – Bóg i szatan, w jednej postaci – Wojna. Obóz, pozostał we wsi tylko trzy dni i wyruszył dalej, „na tyły”. Za obozem, ruszył drugi, obóz uciekinierów. Po ich mowie wyczuwało się, że nie byli „z głębokiej Galicji” ale z niedaleka, zza Poczajowa, od Radziwiłłowa i z bliskich im miejscowości. Znowu, pewnego dnia do Matwieja, na wypoczynek, przyjechał wóz uciekinierów. Mężczyzna z żoną, starszą matką i trojgiem dzieci – dwoma chłopczkami i dziewczyną, znacznie od nich starszą. Ojciec, „moskał”, po wojskowemu, wrócił ranny z frontu, na leczenie. Otrzymał rozkazy wymarszu. ...Ale przecież, nie zostawi ot, tak, na Bożą łaskę, rodziny... No nie? Prawda. Miał wyjechać tydzień temu, a teraz nie wie, co z tego wyniknie. Sami, z żoną... Bójcie się Boga... A co będzie za to, że „nie stawił się w terminy?” – czort to wie. Rozstrzelają, to rozstrzelają. Nic gorszego, od śmierci, nie wymyślisz, ale, na pewno nie rozstrzelają, tylko wyślą na front, aby tę brudną robotę wykonali inni... Pochodzi znad samej granicy – trzy wiorsty..Już, może z chaty i całej wsi, nic nie zostało. Kto wie. ...A „to będzie” wszystko jedno, gdzieś dalej w środku lasu, czy w środku pola, czy na prostej drodze, żonę, z tymi to szczeniętami, zostawić i iść... Co zrobisz... Gadatliwy i poważny gość, spodobał się Matwiejowi. Nastia gotowała i karmiła całą rodzinę. Kobieta, cały czas się martwiła, popłakiwała. Wejdzie do chaty, czego nie zobaczy, czego nie weźmie do ręki i od razu: – I my, kobieto, mieliśmy takie... Jeszcze lepsze... Wszystko, swoje mieliśmy... A teraz, żebrakami, sierotami, wyrzutkami, na wstyd i hańbę... – i lży, od razu, leją się jej z oczu – błędnych,

czarnych, popuchniętych. Dwa dni, odpoczywali uciekinierzy, w domu Matwieja. Trzeciego dnia, z rana, odjechali. Sierpień, dobiegał końca. Na polach, opóźniony zbiór zboża. Bez liku owsa, moknie w półkopakach. Droga idą i idą, kolumny wojskowe i tłumy cywilne. Drogę, poszerzono trzykrotnie. Przyszli jacyś geodeci i pomierzyli. ...Ziemiaki, nie ziemiaki, proso, nie proso – bez różnicy. Wycięli tyle, a tyle sążni i zrobili drogę. Pociągnęły pojazdy, jeźdźcy i piesi. A rodzina Matwieja przy pracy. – Ej, wy – co się jeszcze męczycie ! I tak przepadnie! – wołali na Matwieja... – Przepadnie, nie przepadnie, a do końca trzeba doprowadzić. Nie zostawię, ot, tak, na polu. ...To, w stodole, spłonie... Matwiej, wzruszał rękami, patrzył na zachód, skąd wyraźnie słychać było huk armat. Ale nie. Mimo tego, trzeba zbierać. Woził, zbierał, składał w stodole, wszystkie sąsiadki, zapełnił pod sam strop... W polu, została już tylko sama koniczyna nasienna. Wreszcie, przyszedł ostry nakaz (dziesiątnik rozkazał w każdym domu) kto ma zbyteczny, ciężki do drogi, dobytek żywy, ma przywieźć na punkt zborny, do Białej Krynicy. Tam, żywiec zostanie wykupiony na wagę. Kto tego nie robi, straci bydło w drodze. Front nie zbliża się, a mimo tego, trzeba się zbierać do drogi, mimo wszystko. Od takiego nakazu, u Matwieja pojawił się w piersi wielki ciężar, i nic nie było w stanie go zdjąć..Poszedł do obory. Sześć krów, jedna przy drugiej, stoją spokojnie koło żłobu. Nie można gniewać Boga. Było mleko, i sobie i ludziom. Kto nie przyjdzie, dostanie kwartę dobrego, gęstego mleka... „A zapłata?.. Niech Bóg zapłaci...! Na zdrowie pijcie”, – mówiła Nastia... I teraz, te krówki, te cudowne zwierzęta, na jakie czekał i siłą swoją poświęcał, przez tyle lat, teraz przyjdzie zabić. Tak. Zabić. On, po prostu je

wypuści w pole i powie – idźcie, dokąd was oczy poprowadzą... Teraz, was nie potrzebuję... Albo mam oddać za bezcen, na wagę – serce boli... – A tu, z wszystkich, stron słyhać – Ewakuować się, ewakuować. Oto batiuszka, wywiózł całą rodzinę. Sam został i czeka, zanim ruszy całą wieś. Wszyscy nasi, wyjechali. Nawet najwyższy przedstawiciel, uprawiciel, także nie pozostał. – Hm... Oddać „zbedną chudobę”... Ciekawe, kto ma tę zbedną chudobę. Który dobry gospodarz ma zbedną chudobę? Zbedną, zbedną! Oby go kolki pokłuły, kto wymyślił taki żart. I myśli Matwiej: Nie było kiedyś bydła, nie było grosza, nie było czasem czego do ust włożyć.. A teraz i dobytek jakiś, krwawicą zdobyty i pole... Musiał, od rana, do wieczora, tyrać i teraz, musi marszczyć czoło od troski, jak to wszystko zniszczyć... Zniszczyć tak, by mniej bolało tu, gdzie siedzi chłopska, na wszystkie bóle zahartowana, dusza. Dopiero co, stanął na nogi. Pół setki lat, tkł się, niczym ostatni z ostatnich, gorzko biedował, ciężko walczył. Nareszcie, zdobył szmat tego pola, chałupy sobie i dobytкови, wielkim trudem, przysposobił. Wszystko to, tymczasowe, „na teraz”. Pole także, nie do końca, wyrobione. Tu trzeba, takiego gnoju, tam – innego. Do wszystkiego, potrzebna aż do bólu, chudoba. Jedno, zależy od drugiego, wszystko to, zazębia się nawzajem ze sobą.

– A co wieś? Co ludzie? Gdzie są ci ludzie i co oni myślą? Ach, ludzie. Nie opowiadajcie mi, o ludziach. Ból słuhać. Czy oni mogą mocno chcieć, do zmierzchu pracować, bić się za ostatnich tych sprawiedliwych ile sił, jakie dano człowiekowi? Nie, i mówię wam jeszcze raz – nie! Oni się ruszają, chodzą, ale bezmyślnie... Nie ma tej myśli, jak to mówią, żywej, obolałej, jak odkryta rana. I mało świadomości. Nie mówię, o jakiejś wielkiej świa-

domości, lecz nawet o świadomości tego, że oni należą do ludzi. Tak, tak.. To smutne... To jakaś wyjątkowo tępa, bezmyślna i zbita jak makuch masa, która nie umie odeprzeć wrogiego naporu... Cała wieś i wszystkie wsie naokoło, zapomniały o sobie. Zagrzała gdzieś, jakby boska armata i wszyscy w krzyk, wszyscy w lament, jakby to ich życie było najważniejsze.

A gdzie państwo? Tak myślał rozgoryczony Matwiej. Nie miał komu tego powiedzieć. Sam z sobą, tak rozmawiał, stąpając szeroko po polu, machając ściśniętymi pięściami... Często, myśl wydobywała się głośno...Kanciaste, twarde słowo, wyrwało się ze ściśniętych piersi i padało w próżną, bezludną przestrzeń. Razem ze słowem, wyrwało się serce – mocno uderzało, jakby ktoś je wyrwał, niczym ranę. Co za cierpienia! Jakie niewypowiedziane cierpienia! Tylko chłop je zna, ten, który twardym chlebem się karmi, kto nie czuł ani chłodu, ani spiekoty, kto nie wiedział, o wybrykach nerwów.

Matwiej, idzie polem i zdaje mu się, że to stąpa karcący mesjasz. Zatrzymuje się i spogląda w jego oblicze. Nikt nie wiedział, takiego groźnego, poprzeryzanego zmarszczkami czoła. Każda ta zmarszczka, krzyczy bólem. Popatrzcie, oczy jego, z czerwonymi żyłkami, w których płoną błyskawice. Popatrzcie, on nawet bez czapki, i rwący jesienny wiatr, który dmie znad ugarskiej doliny, targa jego włosy, niczym wiecheć słomy. Poły jego kurtki, powiewają na wszystkie boki, niby jakieś niesamowite skrzydła, niezwykłego, niezemskiego ptaka. On nie idzie, lecz leci. Nie patrzy, że jego wielkie, szerokonose buciory zostawiają szerokie ślady, na świeżo zoranej ziemi. On, mimo to, leci tam, pod tymi chmurami, które wyrwiają się z jego wyłysiałej głowy i pokrywają wszystko naokoło: ziemię, lasy i niebo. Tak, każdego dnia, latał Matwiej, po swo-

ich polach. I, im coraz wyraźniejsze były, odgłosy armatnich grzmotów, tym bardziej, jakby zwiększały się, tamte przestrzenie jego lotów, nabierając osobliwego znaczenia... I mimo tego, pewnego dnia Matwiej poszedł do obory, gdzie stały krowy. Było ich sześć. Wszystkie poprzywiązane łańcuchami do żłobu. Oto Łysa, Mańka, Raba, Rogata. Dalej ta, którą tego lata kupił na jarmarku, bez nazwy. Dalej szóstka, ruchliwa krówka – Siwieńka. Wszystkie stoją w kolejności wzrostu – od lewej, do prawej. Łysa, najbilsza, najcieńsza, dalej Mańka... Matwiej odwiązał dwie i wyprowadził na dwór. Zawołał Wołodźka. On ma poganiać krowy. Mańkę i Lisę. Wołodźko pasł je dwa lata i zna je, jak siebie samego. To poważne krowy, stateczne, dlatego mniej wchodziły w szkodę. Były dobre, posłuszne... Szkoda ich jemu... i nie szkoda... Jakoś... Czemuś, nie szkoda. Tak, niby to go nie obchodzi... Nastia, wybiegła z chaty, popatrzyła... Jakby chciała objąć te pocziwe stworzenia i przygarnąć do siebie. Zamiast tego, chwyciła za dójki, by sprawdzić, czy nie są pełne, by po drodze nie nabrzmiały. Wołodźkowi, wsunęła do ręki, kromkę chleba z masłem.

Poprowadzili krowy na sprzedaż, do Białej Krynicy. Wołodźko, idzie za krowami boso. Nie ma wcale butów. Ojciec, ciągnie krowy na postronku i nie odzywa się ani słowem. Nie chce mu się rozmawiać w takiej chwili. I tak poszli. Przez wieś, doliną do Baszkowic, przez „kazionny” las. Wołodźko już zna te drogi. Jeździł tędy na „mobilizację”. Przez całą drogę, rzucili zaledwie kilka słów. U celu, olbrzymia kolejka. Przyjdź, traktują cię, jakbyś był ich matkobójcą, i jeszcze czekaj, proś, zanim oni pozwolą zabrać twój dobytek. Potem, krowy zważyli, i dawali „pokwitowania”. Z pokwitowaniami, trzeba iść w drugie miejsce, by dostać zapła-

tę. Za obydwie krowy, dostał Matwiej sto jedenastie rubli i jeszcze jakieś kilka kopiejek. Dostali całą „katarzynkę” i resztę rublami. Matwiej, związał ciasno grosze w koniec chustki, w jaką był zawinięty chleb. Gdy sprzedali krowy i Wołodźko został tylko z patykiem, jakim poganiał krowy, a Matwiej, nie dostał z powrotem, nawet swojego sznura, (dobrze, że nie wziął łańcucha), siedli obydwaj na mrozie i jedzą chleb, z gotowaną słoniną. Jedzą, milcząc. Matwiej, nad czymś myśli, a Wołodźko, rozmyśla nad wszystkim, co zobaczył. Naszła na Matwieja jakaś złość, czy coś... Dosyć, że napadła go, nieunikniona konieczność niebywałego marnotrawstwa. Sam wstał, poszedł do sklepu i wkrótce wyniósł stamtąd całą butlę lemoniady i sporą bułkę. O, taka bułka, na pewno sporo kosztuje. Własnymi rękami, rozerwał bułkę na dwie połowy. Jedną sobie, drugą synowi. – Masz! Coś zjemy. Co zjemy, co wypijemy, to tylko to, będzie nasze. – Przeklęte czasy nastały... A potem, popijali, po kolei. Całe trzy kopiejki, w mig przepuścili, i już ich nie było. Wołodźko, z przyjemnością pociągał łyki ostrego, syczącego napoju. Zmęczył się, poobijał przeklęte nogi, a do domu jeszcze dwadzieścia wiorst, bo Matwiej, czemuś zdecydował, wracać do domu przez miasto Krzemieniec. Ażeby choć popatrzyć, jak tam teraz wygląda, co porabia „żydwa”?

Trzeba ruszać. Słońce nie stoi w miejscu. Ono, dawno zeszło nad góry krzemienieckie, tam gdzie jest stacja. Idą szosą. Przez koszary, przez wielką, ponurą cerkiew garnizonową z czerwonej cegły, przez cmentarz wojskowy. W jedną i drugą stronę, bez przerwy, suną tabory. Doszli do stacji. Wołodźko, w duszy jest wdzięczny ojcu, że poszli tamtędy. Tędy, jest jakieś sześć wiorst bliżej. Pusto. On jeszcze nigdy nie widział, ani drogi żela-

znej, ani pociągu, ani parowozu. Kiedyś, bywało jeszcze na Lebedcach, gdy wybierał się poza zapust Martynowy, na pogórze, widział tam pociągi. Było tam daleko, ze dwanaście wiorst. A może, to nie był dym z parowozu? Może, to był zwyczajny dym i już? Ale dla Wołodźka, to był dym osobliwy, i on z wielką przyjemnością, łowił go swoim, dalekowzrocznym spojrzeniem. A teraz oto, obydwaj z ojcem, są całkiem blisko od stacji. Maszerują dwie kompanie „z *bagnetami na bacznosc*”. Z przodu, oficerowie z gołymi szablami. Z prawej, szyny wrosły w ziemię i porosły burzanem. Na nich, stoją stare wagony, z napisami JU.ZE.ŻE-DE. Jeszcze dalej, stoją „*dobre wagony*”. Na nie ładują krowy, konie, ludzi. Korciło Wołodźka, aby podejść do tego zgiełku, bliżej i przyjrzeć mu się dokładniej, ale nie było czasu. Szli cały czas, po ostrym, drobnym kamieniu, dlatego odczuwał przykry ból w nogach. Z powodu ciasnoty, nie mógł nawet iść tędy, którą by chciał. W mieście, zduszonym niewielkimi, ale pięknymi górami – ciasno, ruchliwie, głośno. Jeżdżą auta. Każde z nich, załadowane wojskowymi. Szczególnie, rzucają się w oczy, szeregi „*zlotopagonników*”. Jakby oni zeszli się tu z całego frontu. Ale sklepy, szeroko pootwierane, i wkoło trwa, gorączkowy handel. U Wołodźka, rodzi się skryta myśl, która w krótkim czasie, rozrasta się do niebywałego postanowienia. Powstało ono i rozrosło się, do niebywałych rozmiarów, gdy przepychali się z ojcem przez rynek i przechodzili obok sklepu z tanim obuwiem. Ale, jak nie marzyć o butach, gdy nogi są tak pokaleczone, tak poobijane. Niech ktoś spróbuje w takiej sytuacji, nie marzyć o butach. Na rynku, Matwiej kupił cały funt gruszek. Znowu niebywałe, zuchwałe marnotrawstwo. Widać, Matwiej postanowił: niech wszystko ginie, skoro tak!

Znaleźli skrawek wolnego miejsca, w rogu rynku, siedli i smakują gruszek. Wołodźko czuje, jak kłuje go w nogach ból i myśl o butach, nie opuszcza jego głowy. Naprzeciwko, brudny sklepik. Tam znana firma Ruchla sprzedaje takie różności, że od zapachów, aż dech zapiera. Ojciec i syn, dojadają gruszek... Matwiej, wyraźnie szykuje się do wstania i odejścia. On przecieży, musi nakupić „*czegoś do domu*”. Wołodźko, ostatecznie się decyduje. Niech się dzieje co chce, a musi to powiedzieć. – Tato! Ostrożnie, – z przymrużonymi oczyma, odzywa się. – My przechodziliśmy koło sklepu... Widzieli tato, jakie tam dobre, juchtowe buty wiszą? – No tak, co? Chyba tu mało, tych juchtowych butów... – Ja... – Mnie... Wiecie, tato... Ja tak poobijałem sobie nogi... Ach, tak bolał tu, koło palców... Zobaczcie... I nawet podniósł i pokazał ojcu. Podeszwy popuchły, wszystkie palce poobijane. – A jak marzną nogi, gdy stają na rosie. Podniósł głowę i patrzył błagającymi oczyma na ojca. Oczy ojca się zachmurzyły. Zerknął na nogi syna i mówi:

– No, czego chcesz? Tyś przecieży nie panicz i ojciec twój, nie jest pan...

– Nieee. Ja wiem... ale gdybym miał, jakiegokolwiek, choćby parszywieńkie, buciki...

– O-ooo! Jeszcze czego się zamarzyło...

– Myślicie, że tak dużo chcę? Nie. Mnie potrzebne jakiegokolwiek buty... Ot i wszystko. – Hmm... myślisz, że to nie dużo. Buty, myślisz, za te, za tamte, kupisz. A myślisz, kiedy... To co? Ot tak, od razu, do rosy w nich? Długo, twój but, by wtedy wytrzymał...

– Nie ja będę je szanował. Kiedy nie trzeba, nie wzięję.

– No, to i kupować jeszcze nie trzeba. Mnie pieniądze potrzebne na zakupy, na spłatę banku... Ty wiesz.

– Tato!...

– Nie marudź! Nie mam pieniędzy. Nie będę, sto rubli, rozmieniał tobie na buty. Idziemy! Już późno... I ojciec wstał. Wołodźko, nie chce wstawać. Próbuje dyskutować...

– U was są jeszcze drobne...

– Drobne, drobne... To i do domu trzeba, drobnych. Jeszcze, coś muszę dokupić, i po drobnych.

– Ale, mnie tato, tak bołą nogi. Tak bołą... A za co, ja przez całe lato, pasłem te krowy? – ośmielił się dorzucić – najsilniejszy argument.

Ojciec skrzywił usta, w dziwnym uśmiechu. To nieco podbudowało chłopca.

– A ja? – powiedział ojciec. A ja, za co, całe lato orałem, siałem, kosiłem, do stodoły woziłem. Za co? Idziemy. Nie ma co gadać. – Ojej. Widać z Wołodźkowej nadziei nic nie zostanie. Wstał.

– Och, tato! Wyrwało mu się. Mi się nawet nie chce iść do domu, ja przecież chcę tylko jedne buty, byle jakie, najtańsze, przecież wojna idzie...

– Et, dumiu. Ty. Wojna. Wszystko ci z wojną się kojarzy. Tobie jedno w głowie, mnie tysiące...

Znowu idą. Wołodźko bardzo niezadowolony. Ostrożnie stąpa po kamieniach, stęka, gdy wpada na ostrzejsze... Myśli ma przykre, dokuczliwe. Tak zawsze. Biegaj, biegaj staraj się. Rano wstawaj, marznij, moknij, a gdy kupić coś, to... No, choćby idź do obcych...

Ojciec idzie przodem, równo trzymając głowę, plecy ma nieco zgarbione. On zastanawia się (myśli). Po czole igrają mu zmarszczki. „*Strata, to strata. ...Te krowy kosztowały go więcej... Ale małemu buty są też potrzebne. Wszystko jedno, jak nie dzisiaj, to za kwartał, a kupić musisz. Do zimy, może nie podrze, a tu za jednym zachodem...*”

Ale oni już dość daleko odeszli od ta-

nich sklepów. Wracać? W tych sklepach na ulicy Szerokiej, drożyzna... Tam chyba może kupować tylko generalieja.

– Ciebie by trzeba, odczepić! – czemuś się ojcu wyrwało. On jest wściekły na syna, że ten sprawił mu taką nieprzyjemną niespodziankę.

– No, dobrze, idziemy już... Może coś wybierzemy... Wołodźko, zadowolony. On, wcale nie obraża się, tym „odczepić”, chociaż i nie poczuwa się do żadnej winy. Gdy wracali na rynek, nawet nogi przestały go boleć. Okazuje się, że za całkiem parszywe bucięta, z byle jakiej juchtowej podróbki, przyszytej do starych postrzępionych cholew, „znajomy” Żydzisko, chce pięć rubli. Matwiej, od razu chciał splunąć, rzucić Żydowi, w twarz, te pokracczne trepy, i odejść. Nie dość, że stracił na krowach, to jeszcze ma wydać taką grubą kasę, na takie brzydactwo. Ale Wołodźkowi, nawet takie brzydactwo, wydawało się, Bóg wie czym. Chciałby mieć, choćby i takie. Czemuż, miałby chcieć więcej? Póki ojciec ostro walczył z „*przekłętym parchaczem*”, Wołodźko przeżywał nie lada jakie chwile. Wyraz jego twarzy, zmieniał się tak szybko, jak zmieniał się przebieg targu. Na końcu, krach. Ojciec splunął i wyszedł. Co za taki... Już z półtora rubla, prawie do dwóch, utargował, ale „*przekłęty parch*” zaciął się na trzech i ani kopiejki już nie chciał opuścić... Obeszli jeszcze kilka sklepów, przymierzili z dziesięć par butów. Za każdym razem, Wołodźko musi naciągać na swoją obolałą nogę but, i każdy z nich wydaje mu się „*całkiem dobry*”. On nie przebiera, jak ojciec. „*Jakiekolwiek*” – powiedział wyrażnie, ojcu. Za każdym razem, gdy przy mierzał buty, Wołodźko czuł się, jakby stał przed sądem i albo miał być zasądzony na śmierć, albo dostać w darze niewymowne szczęście.

Trzeci Żyd, który: – Ja przecież was

jeszcze „w tamtych czasach” znałem... dziadźko Matwiej? Nie? Boże! Przecież my się dobrze znamy!...A dla was... Dla was mam cudeńka. ...Oto doskonałe, z warszawskiego juchtu. Ich cena? Prawie za darmo... Niech do szabasu nie dożyję! Wszystkiego, cztery ruble... Jej Bogu, to za darmo. Przymierzaj... Mały! Przymierzaj na nogę... No? Jakby na miarę. Ale sam ten szczebiot, nie zachwycił Matwieja. On bierze but, silnie ścisną w rękach, próbuje, czy nie trzeszczy skóra, czy dobrze trzymają, podeszwy...Bo i tak bywało... Bierzesz, draństwo do ręki, a ono się rozlatuje. Znowu targowanie się. Ten zatrzymał się na trzech (rublach) i dziesięć kopiejek. Niech jego dzieci nie doczekają soboty, jeżeli on na tych dobrych butach zarobi więcej, niż dziesięć kopiejek. To przecież, nie jest byle jaka, tandeta. Nie będzie znajomemu, sprzedawał jakichś śmieci. A Matwiej, twardo rzekł: – Dwa ruble i pół! Chcesz, biorę, nie chcesz – możesz w nich sam chodzić! I Odszedł. Wołodźko ciężko westchnął.

– Co to! – zwrócił się ojciec do syna. Za taką marnotę, tyle pieniędzy. Ja sam za te (i podniósł prawą nogę) trzy lata temu zapłaciłem trzy ruble. Ale to są buty! A to... Tfu, niech go szlag trafi! Odchodzą i nie oglądają się. Nagle ktoś ciągnie Matwieja za poję. – Panie! Panie! Wracajcie! Nu, zapłacić!..To chuda krzywonosa Żydóweczka ze sklepu.

– Bodaj by ciebie pokreśliło...! Czemu ty nie powiedziałas tego od razu! Czemu kręcisz? Matwiej wrócił i długo odliczał pieniądze. – To tylko dla was... Wiedziecie, to tylko znajomym... powtarzał Żyd. Matwiej dał pieniądze, wziął buty i podał Wołodźkowi. Ten objął je ramionami i trzymał ostrożnie, jakby były z najcieńszego szkła. A co miał w oczach... Ile w nich było najprawdziwszej radości! Tam, cała niezmierna radość, która całkiem do

końca, pokonała wszystko: ból, strach, beznadziejność. W duszy, dziękował ojcu, Bogu, i całemu światu, a niósł swoje skarby tak, jakby to była ciecz, która może się rozlać.

Teraz tylko, powstało ważne pytanie: czy warto je ubierać „na rosę”, czy dalej marznąć. Szkoda, rzeczywiście, nowych butów. No, ale dobrze, że są!... Do domu, piętnaście wiorst. Przyszli, gdy wszyscy spalili. Wołodźka nogi tak bolały, że nawet nie miał siły, chwalić się butami. Postawił je w takim miejscu, gdzie by się nie zabrudziły, sam poszedł do szopy, przykrył kożuchem i zasnął kamiennym snem.

I dobrze, że sprzedał krowy. Wkrótce, pod Krzemieńcem, zagrzmiały armaty. Nie było dnia, ani nocy. Czarna chmura i czarny dym, zaścieliły niebo i ziemię. Jesień uderzyła deszczami. Kolumny armatnich dywizjonów, zryły polną drogę i w jej koleinach grzęzły konie, po same pęciny. Jechali więc nie drogami, a polami. Przez huk armatnich wybuchów, jęczą w budach dzieci. Śmieje się i płacze na przemian jakaś ciemnowłosa kobieta, siedząca na brudnym, mokrym pieńku. Ona opowiada głośno, jak kozacy spalili jej dom, przez co straciła dziecko, pozostawione w domu, gdy sama była na polu. Przybiegła, ale dziecka już nie było. Rzuciła się w ogień, ale ją uratowali. A mąż jej poszedł w Karpaty...

„Bodaj im, jak długo będą żyć, w głowach karpatało”. Wyciągała rękę, błagała kogoś. Chuścina spadała jej na potylicę, a rozwichrzone czarne włosy kropił drobny deszczyk. A kolumny płynęły sobie obojętnie, do przodu, powoli. Czasem, jakiś konik, padał ciałem w grzęzawisko. Bili, poganiali kolbami karabinów. Oblepione, stupudowe koła wozów, grubo oblepiają się gliniastym błotem. Nie obeszło się, bez ochryplego śpiewu i grania harmoniszki ustnej. A Matwiej, wciąż pracuje.

Pole, nie może tak leżeć. Kosi koniczynę nasienną.

– Boże miłościwy – wzdychają sąsiedzi. Po jaką cholere, on tak pracuje... Wszystko i tak przypadnie. Matwiej rozmyślał: przypadnie moja praca wtedy, gdy mnie nie będzie... A póki, moje kości w kupie, dotąd nie śmie przepaść ani jedno ziarno.

Pewnego poranka, z hukiem i krzykiem, wjechała do wsi kolumna armii „*pierwszego uderzenia*”. Najechali jawnie i skrycie. Stali po krzakach i sadach. Część zatrzymała się w szczerym polu, akurat Matwiejowym. Na podwórzcu, pełno wojska. Drzwi chaty, się nie zamykają. Pod klunią, dwie dwukółki, zaprzężone w wielkie, kare koniska. Matwiej zamierzał młócić owies. Może, choć trochę, sprzeda. A tu, deszcz nie przestaje. – E – dziadźka, po co pracujesz? – Wszystko jedno, porzucisz!... – Niczego – rzuce, to rzuce, a młócić trzeba... I urodziło, jak na te... Kopa owsa, sypnie z dziesięć pudów. Wszyscy sąsiedzi, którzy „*idą w świat*”, sami proszą: – kupcie panie, owies. Dobry owies... I sprzedawali w snopach, za bezcen. Sprzedawali wszystko, co mogli: świnię, cielęta, kury, gęsi... Jęczmień, pszenicy, żyta, nikt nie chciał. „*Po co? – Nasze konie i owsa nie jedzą więcej... Na jakiego więc czorta, jęczmień... A jak proszę was, będą żreć?*” Wkoło, jak sięgniesz wzrokiem, owies w snopach. Deszcz, nie deszcz, obojętne. Konie depczą po snopach, rozgrzebują kopytami. Na wozach mięso się psuje, sznury tytoniu krzemienieckich mieszczan, gniją. U Matwieja na klepisku kupa, około dwieście pudów owsa. Słomę na dworze, w kupkach, deszcz moczy. Jaki dziwak będzie teraz sieczkę ciął, jeszcze taką grubą. Chyba tylko Matwiej. ...Tak. On nie zapomniał nawet o słomie. Chyba Matwiej. Tak. On nie zapomniał. Wojacy, niczym

wielkie mrówki, wydeptali ścieżkę przez wieś, do pola ze słomą. Każdy, potrzebuje słomy do „*siennika*”, służącego do spania. A rozsypaną po drodze słomę, powdeptywali po drodze w błoto. Matwiej zaś, nawet słomę gromadzi. Chodzi z widłami po drodze i zbiera rozwłóconą słomę na kupki. O owies, nawet nie pytaj... Czy kto to przeczuł, lub przewidział, aby za owies płacić trzydzieści – czterdzieści kopiejek? Nie. Niechaj wszystko ogień pochłonie, jak na gałaj-bałaj, o tak, diabłu niestrudzonemu, dać w zęby. No, a jak? Tego... Jak z ewakuacją? Oto wieś wozy smaruje, budy z obręczami na wozach montuje i rozpina płachty. Wszyscy, gotowi wyruszyć. Ruszy ten obóz, ruszy i naród. Ruszyć, tak jak jest wsią, powinni. Pod namiotami zimować? Ech! Myślisz jeden z drugim, że Bóg ci z nieba zrzuci pieczeń? Ale stary... Pomyśl o dzieciach. Rób coś... Napnij na wozie coś i dla siebie! Słyszysz, jak dudni! – gderała Nastia. – Et – durna ty babo! Gdybyś miała rozumu, jak ta kurka, to i tak twoja głowa by lepiej gotowała. Dokąd, do czorta matki, pojedziesz?... Nastii zostawało jedno – płacz. I ona choć z tego korzysta. Łzy, jak zawsze szukały najgłębszych zmarszczek i cicho spływały kilkoma gałązkami do ciasno zaciśniętych ust. Matwieja gryzie ostra troska, jak igła. Czuje w piersiach, jakby serce stwardniało na kamień. Rzeźba czoła, wskazuje mi strza, który ukochał wielki gniew, wielkich bogów przeszłości. Groźną kupą, cwałują kozacy. Grzbiety koni, pokryte grubą warstwą ziemi. Nahaje, buty, nosy i czuby – grad, błoto i brud. Jedne oczy, niczym pożar, jaki ci ludzie tak znienawidzili, że zdaje się, że gotowi są wszystko spalić na popiół, proch i niebyt. Och, jak konie rwą kopytami z grudkami ziemi, jak soczyście cmokają i prędko chlastają nokoło, podgórskie bagna. Nozdrza grają i rwą od szybkiego oddechu, rozbryzgują

pianę i krew. Którędy droga na Żołobki?

– Prosto... Ot, tam. Za lasem!. To pruje kurier sztabu czternastego korpusu, który zatrzymał się w sąsiedniej wsi. Z frontu, idzie straszny rozkaz. – wszystko na sześćdziesiąt wiorst szerokości – przykryć ogniem! Czarna smuga, jak czarnoziem, niech lezie od południa, do północy. Niebo i ziemia, tylko Gururr! Gurr, gur, gur!. Po brązowym, piwnym tle nieba, kłąb za kłębem, niby wybuch wulkanu, kotłują się chmury. W głąb i wszerz, niebo ogarnął pancierz, zdusił powietrze, stłumił słoneczne światło, które zeszło w podziemia. Pojawiło się inne światło, nie tego jasnego słońca, które na wieki, jakby znikło, jak starta brudną szmatą plama krwi. Pojawiło się i powoli, jak świtanie, szerzyło się światło barwy popielatej, które powlokło cienką powłoką pola, góry, lasy. Drogi ciągnęły się, niczym tunele. Na nich, jak lane z ołowiu istoty w zarzewiu dalekich pożarów, szły, kotłowały się, cwałowały jękającymi brzuchami... Sto siedemdziesiąt milionów dusz przynosiło zniszczenie, i ciemny dym zakopcił niebo. Gdzieś tam w szarych chaszczach, między złotem i ogniami sam koronowany władca pociągnął na czele chmury wojsk wielkiego imperium. Na północ! Na północ! W lasy! Otoczymy wszystko po biegun i puścimy planetę w bezdenną przepaść... Koniec wam!

Tę obawę miał Matwiej w sercu, w duszy, w oczach. Brał półpudową siekierę i ciosał budę. Na to się może zanoś. Ziemia trzyma go straszynymi, mocnymi objęciami, ale wojna silniejsza od ziemi. Odzież, narzędzia, chudoba, świnię z ośmioma bieleńnikami prosiakami, roczny wieprzek, zgraja czubatych kurek, szerokodziobych kaczek. ...Dokąd z tym? Wszystko wyrzuci w pole, wypuści: niech się rozlezie, gdzie popadnie, gdzie trafi! – i niech samo sieje się, po szerokiej ziemi.

Niech idzie lasami i mnoży się...

Buda wyszła zgrabna, matwiejewska. Nastia, jak zobaczyła, klasnęła w ręce. To dokąd powieziesz taki ciężar? A woreczek mąki, woreczek krup, poetek sadła, wszelakie zapasy i potrzebne na różne sytuacje, narzędzia... Matwiej idzie do kosszar, zgina kark, jaki przed niczym, tylko przed pracą mu się zginał i mówi:

– Kupcie, proszę, ode mnie wieprzka. Roczny, słoniny na piędz, będzie miał... Dobrze, cokolwiek za niego dacie... Wcisnęli mu dwanaście rubli za wieprzka... Zabili obuchem, tuszę zabrali, a wnętrzności rozciągnęły psy. I dobrze, że tak. Dobrze, że chociaż dwanaście dali. Inni żołnierze we wsi podjadali same koguty. Co z tego, że na tak pracowitej ziemi, ptactwo domowe, traktowało się jak dzięczynę. Wasyl zabijał prosięta. Gar wielki galarety się zepsuł, bo nie było ani jednego głodnego psa, który by się na nią polakomił. Harmider panował wkoło, ogień, dym, deszcz...

Pewnemu gospodarzowi zasłabły konie. Skrzywił usta, zastanawiał się, co wyrzucić z wozu – żonę, czy worek mąki. Czort z mąką, a żony szkoda. Rozwiązał worek i rozsypał mąkę po całej drodze. Wiatr nieco powiewał, ale drobny deszczyk od razu uspokoił mączną purchawkę. – Wio! – Biedny konisko nie rusza się. Upadła diabelna szkapa i leży... Akurat, prosto w mące!... – Wio, wio! – obyś spaliła się jasnym ogniem! Szkapa leży i postępuje. Na chłopa, złość, jak czarna chmura uderzyła... Obrócił bat na grubą stronę. Bęc, bęc, po żebrach! Konisko ledwo ruszało nogami. Chłopu wytrysła piana ustami. Skoczył na wóz. ...Jakiś miński, jakiś garnki, jakaś dziezka, wszystko to wyleciało z budy i rozsypało się na drzazgi, jeszcze zanim dotknęło ziemi. Pojawił się jakiś moskalik. Zeszli się ludzie. Bicz zatańcował po karkach ko-

nia, pohasał wzdłuż i w poprzek. Nareszcie ludzie kółkami podważyli, postawili wszystko na nogi, wyciągnęli z bagna koła, które ugrzęzły po same osie, pchali wóz, a wóz konia. Chłopisko pociągnęło dalej, „w głąb Rosji”.

Tabor nie rusza. Wóz w stodole stoi gotowy, często, gęsto, stoi. Koła wrzynają się w ziemię. Kupa owsa także leży. Nie sprzedał Matwiej ani jednego puda. Armaty dzień i noc grają. Czasem zaterkocze karabin maszynowy i wydaje się, że gdzieś niedaleko, tuż za kazonnym lasem baszkowieckim. Matwiej nie wie, co dalej. Syn gdzieś znikł. W myślach pokoszona i mokra koniczyna, która leży w kopicach na polu. A pełna taka, główiasta – byłoby pudów piętnaście do dwudziestu, po dziesięć rubli za pud. Zaniepokojeni ludzie, planują wyjeżdżać. – Oto przetrną nam drogę w Szumsku na grobli i basta. Tak po trzy dni stoją uciekinierzy, póki przecisną się przez groble... A gdyby jeszcze nacisnęli. Chcecie, to wyjeżdżacie, a mnie dajcie spokój – odpowiadał ze złością Matwiej. Kobiety nie odważały się ruszać same. Niech „on” decyduje. A ten „on” siedział, niczym kamień i żadna wojna nie była w stanie go poruszyć.

Kilku gospodarzy z Tylawki nie wytrzymało i ruszyli się. Wypełzli na szlak i posunęli trasą naprzeciwko lasu żolobieńskiego. Matwiej odprowadzał ich oczyma i milczał. Co im powiedzieć. A ich chaty, już drugiego dnia stały puste, jak próżny strączek. Na miejscu drzwi i okien, tylko otwory, a w środku, jakby przeszedł huragan. Mówią, że jutro czy kiedyś tam, kożacy od Iwana, podpalą z tamtego końca wieś i lud wykurzą niczym pluskwy. A niech tam. Niech palą. Wszystko jedno. W chatce Matwieja dwudziestu „dzieńszczyków”. W piecu pali się ogień, smażą się kury, prosięta. ...Drzwi na oścież po otwierane, stoją, niczym na samej drodze.

Sam gospodarz nie siedzi w chacie. Chodzi i chodzi. A gdy nie miał sił, przychodził, brał milcząco „coś na ząb” i wychodził do stodoly, do swego owsa, do swojej maszyny, którą dwa lata temu kupił. Tam i żył, niczym wróbel na strychu. Wołodzko też zebrał kupkę marek za kury i wszelkie usługi. Były niebieskie, z „Mikołajem drugim” i zielone, z „pierwszym”. Żołnierze przyszli jakiegoś dnia z dworu i przynieśli worek jabłek. Wysypali pośrodku podwórza i kto chciał, jadł. Opowiadali, co się dzieje. Wołodzko nigdy nie był we dworze, patrzył z daleka na wielką siedzibę, pokoje. Widywał czasem paniczów, jak z zaczesanymi głowami, „spacerowali” po wsi. Ale blisko nie podchodził, niczego wspólnego nie miał i czemuś nie lubił, tego... Nie czuł do nich tego, co, bywało, czuł w Dermaniu, do uczniów seminarium. Ci także „czysto” chodzili, mieli błyszczące daszki kaszkietów, błyszczące cholewy mieli, ale Wołodzko, sam też chciał być takim.

Nie widział niczego lepszego, jak być uczniem. ...Paniczem? – Nie. Zdarzało się, przyjdzie taki. – A powiedzcie mi, proszę, co to takiego? – i pokazuje na żyto. Nie wie, co to żyto, a żyje na wsi. – Fu! A jakie u nich ręce. Palce, niczym szklane. Gdyby zdusił, to by się rozsypały. ...Dziewczyny usta malują na czerwono... Teraz słuchał, co tam się dzieje i poszedł. Popatrzeć. Sad piękny, wielki.. Jabłonie uginają się od owoców. Wszędzie, gdzie nie spojrzysz, żołnierze. Do jabłoni poprzywiązywali konie. Jabłka spadają prosto pod kopyta i tam się gniołają. W pokojach koniec ze wszystkim. Tylko białe papierki, lecące z wyrwanych okien i drzwi, fruwały od powiewów wiatru po klombach kwiatów. W cieplarni obłamana palma i parę kaktusów. Wołodzko odłamał i sobie jedną ciekawszą gałązkę palmy, podobną do pióra. Potem, nie bez obawy, wszedł

do środka. Tam żołnierze, kobiety, dzieci. Jakieś porozbijane bebechy. Pierze, rozwiewane po balkonie. Wyrwane z odzwieży drzwi leżą pod progiem i po nich chodzą. W dużej komnacie ściana lustrzana. Przed nią moskal w mokrym szynelu z strojnym wąsem, czapka na potylicy z trudem się trzyma.

Wołodźko po raz pierwszy ujrzał i swoją niepokojącą postać w całości. Oto buty, te same, które wyzebrał u ojca, nadto zabrudzone. Aż się przestraszył, kiedy stwierdził, że one stoją na lakierowanej podłodze. A oczy jakie śmieszne. Czupryna, niczym szczotka do zamiatania. Pociągnął nosem i poszedł dalej. Z drzwi naprzeciwko wyszedł jeszcze jeden Moskal. W rękach miał siekiere. Ty, co, taka twój mać, jak hrabina, swoje ryło oglądasz! A masz! Bach, bach! W prawo, w lewo. Obuch uderzył w lustro i ono, niczym rozbita woda, rozchlapało się na boki. Zabrzęczały kawałki szkła, a moskal kaszkiet zsunął na potylicę, lewą rękę wbił w bok, w prawej siekiera – stoi dumnie, niczym wielki zwycięzca. Chyba tylko jeden Wołodźko się zdziwił, pozostali, co wchodzili i wychodzili, chyba nie, bo widzieli jeszcze więcej.

Ten, który oglądał „*swoje ryło*” przysiadł do fortepianu i wziął kilka akordów. Fortepian zaryczał i zapełnił przestrzeń dzikimi dźwiękami. – Jaki to sukinsyn depcze butami po klawiszach – z serca wyrwało się u muzyka. – A ty taki, owaki! Rozkrako! Ten bluznął coś wesoło. Sołdat siekiere zatknął za pas, splunął w dłoń tak, jakby z płwociną chciał wypluć serce i zrobił kilka niezgrabnych przysiadów. Skądś pojawiły się dziewczęta. Zakreśliły się szynele i spódnice. Buty stukają po scenie i rozbryzgują odpryski błota. Fortepian namiętnie grzmi, spódnice mieniają się kolorami i białe zęby migają, jak błyskawice.

I znieńska muzyka się urywa. Roztańczone pary z rozpędu kręciły się dalej. Zatrzymały się i ucichły, gdy na miejscy rwących rytmów, pojawiła się tęskna i powolna melodia. Wołodźko nie rozumie tego wszystkiego, ale zdębiały stoi i całą swoją istotą, wczuwa się w otoczenie.

Nagle muzyka burzy się i podnosi na wyżyny. Czuje wiatr, który bije o skały i kwili złym duchem. Czuje gęstość mroku i wicher, który buszuje w nim, otaczając bladą plamę słońca, jakie ledwo przebija się poprzez chmury. Buty, nosy, oczy czerwone, czarne, sine... Czuby, które powiewają na wietrze... Strumienie światła, biją w przymrużone oczy i oświetlają wielką, rozbitą do krwi brew. Wszystko narzuca się i rzuca w oczy, niczym zmara. I gdy wbiegł z wielkim nahajem oficer i ostrym głosem ryknął: Bacžnoośćcie! – u Wołodźka to wszystko jeszcze bardziej się pomieszało w głowie i on przecisnął się przez otwarte okno pod ogrodzenie, gdzie leżała porozrzucana kupa wazonów. Z drzwi pokojów, jak bomby wyrwywają się wojacy, kobiety, dzieci. Niektórzy mają na plecach znaki po brudnych nahajkach. Ale wszyscy czemuś rechoczą. Widać, że byli zadowoleni. Wołodźko obszedł pokój. W jednym z okien zobaczył znajomego chłopca. Tamten kiwa do niego palcem i coś pokazuje na balkonie. Wołodźko podszedł do okna i popatrzył do środka. A tam były stosy rozrzuconych książek.

Wołodźko przeszedł przez okiennice i nachylił się nad książkami. Wybrał z nich te, które uznał za najciekawsze. Zdjął pasek, którym miał przewiązane spodnie i nakładł nań stos książek, ilustrowanych, żurnali i rysunków. Wszystko to zarzucił na plecy. Ale ich waga była zbyt duża. Trzeba było trochę odrzucić. Wołodźko długo wybiera te mniej wartościowe, ale każda książka, jakby przykleja się sama do jego rąk. W innych po-

kojach wyrwali plusz z krzesel, oglądali jakieś garnki, rozbijali szuflady i wyciągali z nich klamki i zameczki. Wołodźka to nie interesowało. On niesie skarb, niesie tak, jak każdy człowiek, który niesie coś takiego, co jest dla niego najdroższe i należy tylko do niego. Wszystko to, tam ulegnie zniszczeniu. Prawda? Na pewno tak. Zniszczą. A on chciałby to przeczytać. Pierwszy raz w życiu, miał okazję zobaczyć, odczuć i wziąć taką masę książek. A jakie soczyste, wyraźne, gorejące ilustracje, litery. ...Nie, nie. Kto śmie zabronić mu wyrwać te skarby spod żołnierskiego buta, który nie zna miłosierdzia i szacunku?

...Ale gdy zbliżał się do domu, on coraz bardziej czuł, że ojciec tego jego uczynku nie pochwali. Dlatego nie pokazał się ojcu na oczy. Podszedł nie od drogi, lecz od wzgórza. ...Ostrożnie podkraść się poza sąsięk słomy i zaniósł do piwnicy. Tam w ciemności zrzucił wszystko ze zmęczonych pleców i siadł na palcach przed swoją zdobyczą. ...Długo rozkładał pomięte kartki, wyglądał pomarszczenia, składał rozsypane strony. Było bardzo mało światła, dlatego przybliżał się do wszystkiego, niczym ślepiec, który całą istotą pragnie zobaczyć jasność przedmiotu. Szkoda, że tu nie może zapalić światła i sięść na całą noc do czytania. I niech tam w górze biją granaty... Niech tam wali się świat... Co to wszystko go obchodzi, skoro przed nim tyle drogocennych skarbów.

Odpowiedział o wszystkim tylko matce. Na drugi dzień i ona poszła z nim popatrzyć na ruinę. W pokojach było już pusto. Jakimś cudem ocalał i leżał w kącie, niczym ciężko ranny inwalida, okrągły, lakierowany stolik. Trzy jego nogi wyrwane i nie wiadomo, gdzie znalazły swój koniec. Czwartha, zuchwale i żałośnie, starczyła w górze.. .Nastia się złękła. Ginie takie bogactwo... Taka rozkosz. Ona nie-

malże rozpaczła i płakała nad tym nieszczęśliwym stolikiem. A stół, jakby prosił, aby go podnieść i dać mu możliwość dalszego życia, i by mógł oddawać się komuś, wierną służbą. I kobieta wzięła go na swoje chude plecy, stękała, sapała i tak zaniósła tę nieszczęśliwą kalekę do swojej ciemnej chaty z mokrą, glinianą podłogą. Na to nadszedł Matwiej. Wystarczyło tylko jedno jego spojrzenie, by Nastia powiedziała: – Oto, wszystko niszczą. Wszystko rozbijają na strzępy. Myślę, sobie wezmę, a jak wrócą, to im oddamy. Postawimy w chlewie. Będzie dobrze na nim siekać buraki, ziemniaki ...Ale nie dokończyła.

– Wiesz ty stara, co? Tobie widzę całkiem poprzewracało się w głowie. Jak ci nie wstyd? Zaraz odniesiesz tego grata tam, skąd wzięłaś. Wiesz? Nie chcę widzieć po nim nawet śladu. Bo jak wezmę pasa, to cię zaraz nauczę... Tego było dosyć. Lepiej nie czekać na coś więcej. Bo chyba nie wiecie, jak dziś wygląda „nasz ojciec”. On tuż przed chwilą, dostał nowinę. Choć włożył w ziemię, a musisz wyjeżdżać. Przybiegł zasapany dziesiętnik – żona Iwana Babiny i powiedziała: Jutro, wszyscy, jak jeden, mają wyjechać. Obóz także wyjeżdża... Matwiej wtedy poszedł do swojej stodoły, między swoje snopy, maszyny i inne takie... A tam wszedł na stół, z którego podają do bębna młocarni, spuścił głowę na ręce i tak przesiedział godzinę. Hm... Gdybyście wiedzieli, co to jest... Wstał Matwiej, jak stróż swego rodu, jak zdrowy korzeń swojej ziemi. ...Dziesiątki lat minęło od tego czasu. Podniósł się na całą wysokość, nieodrodnym syn czarnoziemu aby, przekreślić i wyrównać winy dziadów i ojców. Jego potęga rosła, niczym powódź, niczym bystra, górską lawina. Siłę wielkiej duszy i mocnych mięśni, wpoił w ziemię, nasączoną dziwnym duchem, który dawał ży-

cie, męki, radość i śmierć. I posłał w świat synów, córki, z twardą nauką: wasze prawo – prawem ziemi. Bądźcie silni, jak ona i wieczność wam będzie zabezpieczona. .

I oto na wysokości, na tym tronie czystości, wiary i możliwości, spotyka go ten straszny, okrutny gad „który brzęczy tyłem i gdzie podpełza, tam wszystko wypala”. Przed latami, tego gada czuła jego dusza, i we śnie pokazywała mu straszne lata. Wojna. Niespodziewana, niebywała. Ona swawolnie, nieuchronnie, stąpa po kruchych kostkach milionów i tuż, tuż, gotowa chwycić w swoje objęcia i Matwieja, aby zepchnąć go znowu w bezdenność ciemnoty, cierpienia i nędzy. I wyrosną tacy synowie i córki, napiją się trującego czadu i pójdą po szerokich drogach stepów i lasów, pogubić czystość duszy... Krew, jej barwa i jej atak, zmieszany z głosami armat, kto wie, czy nie zniweczą wiary, w Boga pokoleń, ziemi i niewymiernej ojczyzny... Matwiejowi trzęsły się ręce i nogi. On chodził, stał, siedział, spał, jak zawsze, ale w tych dniach, on wiódł nadludzkie zmagania, z jakąś niewidoczną siłą. Czasami ścisnął zęby, jakby tamował niewymowny ból, niby tłumiał straszny krzyk, który samowolnie rwał się z jego zduszonych piersi... O, jak Wołodźko zna, rozumie, odczuwa swego ojca! Ani jedno słowo nie wrywa się z niego na znak protestu. Wieczorem, za lasem baszkowieckim, szczególnie wyją armaty. Niebo tam żarzy się pożarem i zda się, że po chmurach, idą legiony żołnierzy, aby łać z nieba na ziemię, ogień. Drogą idzie oddział. W taborze pali się nieskończoność ogni i dym zaściela dolinę. Wołodźko zarzucił na plecy stół i poszedł z nim w dół grodu, do doliny...

Poszedł, twardo stąpając pod ciężarem młodymi nogami, chowając się za pokrywą dymu. Szedł po miedzach, czuł, jak drżała ziemia od armatnich wybuchów...

Zdawało się, jakby szedł tu ostatni raz. Właśnie minął pole Chomy Ot-Tego. Dalej Gniadkowe. Niewykopane, wyschnięte ziemniaki. Ktoś, widać niedawno, jeszcze je wykopywał, kładł ogień, dym jeszcze cieniutką woalką ciągnął się, ze znany zapachem ziemniaków. Dalej i dalej, ciągnął ten przekłęty stół bez nóg. Chciał minąć swoich sasiadów, by zachować wstyd ojca, bodaj przed swoimi. Było mu ciężko. Głowę całkiem pochylił, i żyły na karku silnie mu się naciągnęły i napięły. Ręce wyciągnął i trzymał stół na plecach. Doniósł swój ciężar, niemal do lasu żołbieckiego. Tam zrzucił go do rowu, porośniętego leszczyną i wilczą jagodą. Czemuś się zatrzymał na tym miejscu, gdzie potoczył się stół i przez jakiś czas patrzył w dół. Niedaleko była czarna ściana dębowego lasu. Niebo, zaciągnięte chmurami. Lekki, porywisty wiatr wieje z zachodu. Pod tylawieckimi sadami pała się ognie, tam słychać wybuchy, śpiew, dźwięki harmonii. Od czasu do czasu, pohukują armaty. Wołodźko rozejrzał się wkoło. – „Jaka dziwna, niesamowita okolica. Co to tworzy się przed moimi oczyma?” – myśli. Ale nie ma czasu, długo się nad tym zatrzymywać. Powierzchnia ziemi trzęsie się, jakby się po niej toczyło coś niesamowicie ciężkiego. Pomyślał jeszcze o książkach. Musi je gdzieś pochować. Ojciec nie powinien jeszcze raz wpadać w gniew. Zerwał się z miejsca i szybko pobiegł miedzami na spotkanie wiatru z dymem, naprzeciw ogniom. W domu wszedł do piwnicy i zaczął zbierać książki. Zbiegał pośpiesznie, gorączkowo. Jakim bezsenssem wydawało mu się, że musi się rozstać z tymi nieocenionymi książkami. A gdzie je dać? Aha. Dobrze. Zarzucił na plecy wiązki i szybko poniósł tą samą drogą, jaką przed chwila niósł stół. Doniósł do kartofliśka i znalazł niemal wygasłe ognisko. Tu zdjął książki z pleców.

Ogień dogorywał i pokrywał się warstwą lekkiego, białego popiołu. Wołodźko dmuchnął, i żar wyszczerzył czerwone zęby. Tysiące ciepłych śnieżyczek się uniosło i rozsiało przed jego nosem. Wziął pierwszą książkę i zbliżył do jaśniejącego żaru stronę tytułową. Coś, czego nie zna. Położył na żar. Papier zapachniał i zatlił się, ale nie zajął się płomieniem. Trzeba było dmuchać... Bryznął ogieniek i załopotał na jego twarzy, zaciśniętych ustach, odbił się od jasnych gałek oczu, gdzie zaświeciła cała kartka płonącej książki. Chłopiec bierze drugą książkę i znowu patrzy na tytuł. Turgieniew. Otworzył. Natrafił na jakąś stronę i póki trzepoczące płomienie nie pochłonęła ciemność, przebiegł oczyma kilka linijek. Urwał w pół słowa, bo nie chciał, aby zgasł ogień. Położył na gasnący język ognia książkę i pociągnął ręką za kolejną ofiarą. Ach, jaka ciężka, masywna księga. „*Niwa*” Tak. To rocznik „*Niwy*”, w twardych okładkach. Ile w niej obrazków, wierszy, opowiadań, reklam. Całą rzecz musi dokładnie przejrzeć, jeszcze po raz ostatni, póki ogień nie zeżre jej trupa i wiatr nie rozwieje skrawków popiołu, po tych tu polach. Pochylił się nad ogniem, przysiadłszy na palcach. W kolanach, mdleją mu nogi. Zdjął z głowy starą czapkę, położył na ziemi i usiadł na niej. Tak jest wygodniej. Jedna za drugą, wybiera swoje cenne, nagromadzone skarby i nielekką ręką, skazuje na zniszczenie. „*Niwa*” dała mu zaś tymczasem resztę tego, co mogła w takim krótkim czasie dać, póki i sama, bez sprzeciwu i narzekania, legła na polu niebytu. I gdy zgasła jej ostatnia kartka, a kupka popiołu szybko nabrała barwy wiecznej ciemności, Wołodźko oparł łokcie o kolana i objął dłońmi podbródek. O czym myślał? Co w takiej chwili można myśleć? Za plecami, dudniły artyleryjskie wystrzały i może w tym samym momencie seriami le-

ciały w powietrze dwunogie „*korony bożego stworzenia*”. I dziwne, ale Wołodźko w tym czasie nie czuł ani żalu, ani współczucia, ani strachu. Było mu nawet wesoło. Tylko jedno, dotkliwie mu naruszało jego duchową równowagę – stan ojca. Wołodźko nadto dobrze go rozumiał i odczuwał. On, nawet barbarzyńsko pozwilił ogniowi pożreć książki, które już uważał za swoje i jakich innym razem nie wypuściłby ze swoich silnych rąk tak długo, póki nie wyssałby z nich wszystkiego, do ostatniej kropli soku i smaku. To on zrobił „*dla nich*”.

Tak, to tylko dla ojca, jedyne go ojca, jakiego nikt więcej nie ma, i który, jest tak cudowny i duży, jak sama wojna. Do południa następnego dnia, wszystko było zwyczajnie. Szlakiem szły kolumny, posuwali się kozacy. Obóz stał na miejscu. W południe, w obozie zagrała surma i zaczął się nadzwyczajny ruch. Ze wszystkich podwórek wybiegali moskale. Krzyk, przekleństwa, rżenie koni. Za pół godziny, kolumna ruszyła i rozciągnęła się długim węzłem po szlaku. Za baszkowieckim lasem rozbrzmiewała kanonada. Armata ryczała bezustannie. „*Aż okna brzęczały*” mówili, chociaż Wołodźko nie słyszał, że brzęczały. Matwiej sam już nie wie, co dalej... Jego дума upadła. Nigdy w swoim życiu nie płakał, nigdy nie wyrwała się z jego ust, jakaś skarga. Ale jego smutek i bieda, były widoczne i wielkie. Już nawet sąsiedzi „*ruszają*”. Co robić? Wszyscy zebrali się na naradę, ale u Matwieja zmienacka pojawił się upór. – Nie pójde! .. oznajmił. – Jak to? Przecież kozacy już gonią nahajkami. ...A z tamtej strony, podpalają wieś... – Niech! Niech gonią, niech podpalają, a ja nie pójde. To wyrwało mu się z wahaniem, i nie tak pewno, jak tego chciał. – Ludzie! Dokąd pójdziemy? Co wy sobie myślicie? Czy tam chatę znajdziecie, czy chleb? Toż wieczór! Do-

kąd na noc? No! Wiecie co? U nas inwentarz. Mówicie, za jedną noc będą u nas Węgrzy. Więc inwentarz, dla bezpieczeństwa, wyślemy przodem, a jutrzejszy ranek nam pokaże, co mamy robić.

Niech przerzucą chudobę przez Szumską groblę, i tam czekają na nas... Dobrze? – Katarzyno! – zwrócił się do córki. Ty, z Wołodźką, powygoniasz chudobę! Zbieraj się, Wołodźko! On dawał polecenia, ale sam nie ruszał się z miejsca. Stał, niczym mur, niczym kamienny wykrot. On jeszcze nie wierzył, że wojna tu przyjdzie. Jego twardość i wytrwałość, przede wszystkim przelewała się na wszystkich obecnych i oni zgodzili się „poczekać do jutra”. Sam Matwiej, niczym umierający, który chwyta się każdej chwili życia, wydychał jak mógł, straszne rozwiązanie tej tragedii. Ale tymczasem do wsi podjeżdżały wozy tych, którzy już wyruszyli... Podjeżdżali do ostatniej chaty Matwieja i w niepewności się zatrzymywali. Zdawało się, jakby nie decydowali się przekroczyć granicy wsi. Na Matwieja podwórzu, pełno narodu. A na ten czas, armatnia strzelanina jeszcze się zwiększyła i słychać było nawet ogień broni maszynowej. Przy tym klekocie, Matwiej mówił urywanym, głuchym głosem. Mężczyźni, kobiety, powyciągali szyje – i słuchali.

– Ludzie! – wołał on, oparty na długim grubym drążku, stojąc na progu stodoły. – Ludzie! Moi drodzy ludzie! Przecież widzicie, co się dzieje!... – i tu powiódł naokoło długą ręką, w szerokim rękawie sukienego kaftana, jakby próbował odkryć wszystkim to, co oni widzą i czego nie rozumieją. – Czego wy się śpieszycie? Czy myślicie, że tak uciekniecie od śmierci? Toż wszystko jedno, jak nie teraz, to czy później, gdzieś koło Bożego Narodzenia, na drodze, wśród obcych, w śniegu, umrzemy wszyscy... A porzucimy swoje sadyby... Wy przecież wiecie: nie wojna

straszna, a ludzie... Gdy wyjdziemy z naszych chat, na ich miejscach zostaną ruiny, nawet jeśli front tu nie dojdzie. Żyćcie tu dalej! Nie rzucajcie tych miejsc! Rozumiecie? Nie rzucajcie teraz... Nie rzucajcie, nawet gdyby was wyganiali nahałami. Zębami gryźć, a bronić się, bo to są wasze gniazda, zdobyte pracą, potem, krwawą nieludzko, pracą. To nie są pieniądze, nie złoto. To wasza ziemia, która ssała przez wieki, krew waszych dziadków i pradziadków. Dzieci wasze rosną i mają was zamienić na tych miejscach... A wojna? A wróg? Wróg właśnie chce, abyśmy wszyscy stąd uciekli, bo wtedy przyjdą jego ludzie i osiądą na siedzibach naszych ojców. Pamiętajcie, że bez naszego oporu, bez naszej woli, bez naszego twardego słowa, nic nie zostanie... Wszystko zginie! Nas wyrzucą na drogę i jak te robaki, utopią w bagnie... Rozejrzyjcie się! Wróćcie! Proszę was! Chudobę niech gonią, a wy wracajcie! Jutro... Słyszycie? Jutro, jak trzeba będzie, pójdziemy! Sam Matwiej zdziwił się, skąd wzięły się u niego, ten upór i te słowa. To nie rozum, nie rozważa. To jego Bóg, który ze swej istoty, w czas Straszego Sądu, mówił słowami prawdy i mądrości. On się wyprostował i jego oczy zaświeciły się, jak u człowieka, który napił się alkoholu. ..Słyszac armatnie wybuchy, niektórzy ludzie zaczęli, niczym jakaś wataha, pokrzykiwać: – Idziemy! Mamy dzieci!...Nie mówcie tak, dziadźku Matwieju! On się zerwał z miejsca i, opierając się na cepisku, wyszedł szerokimi krokami na drogę. Tam tabor wozów z budami. Koło nich dzieci, inwentarz. Z zachodu, nadchodzi jakaś niby chmura, niby dym. Bije armata. Wiatr ostro uderza po policzkach, potrząsa końskie grzywy. To działa na Matwieja, jak trunek. On całkiem traci rozum. Nie ma na głowie żadnego nakrycia i wiatr swobodnie szarpie i porywa rzadkie, dłu-

gie pasmiska siwych włosów. Naszła go jakaś jasność proroka, a zarazem żołnierza. Upaść, zginąć, ale niepokonanym i nieugiętym. A póki w piersiach bije serce, i w żyłach cieknie krew, święta walka, niczym wieczny ogień życia, nigdy, nigdy, nie może zgasnąć. Żyć, znaczy bronić się. A umrzeć, znaczy, nie być już więcej. Martwi, nie doznają hańby! Matwiej poznał to wszystkim: rozumem, nerwami, całą istotą i tym wszystkim, co pchało go przez wszystkie, życiowe przeszkody. Stojąc przed rzędem wozów, skierowawszy groźne, błyski spojrzeń, na groźny zachód, on symbolizował wcielenie siły i męskiego piękna. On, wydawało się, jakby sam wystąpił przeciwko bogini życia i śmierci, wojnie. I w tym samym momencie i w tej samej chwili, zza baszkowieckiego lasu wychyla się olbrzymia chmura. Jej brzegi płoną, ogarnięte jakimś ogniem. – Dym! Dym! – krzyknął ktoś. – Baszkowce płoną! Dziadźku Matwieju! – idziemy! Chcecie, idźcie, chcecie, nie idźcie! My idziemy!.. Matwiej rozłożył ręce. – To chmura! – krzyknął on. – Słońce ją oświeśliło! Nie idźcie! Ludzie, nie idźcie! Wracajcie! Noc, deszcz!...Dokąd? Wśród tłumu, zaczęło się zamieszanie. Jedni nagle wsiadają na wozy, poganiają konie, śmigają po zadach batogami. Inni stoją niepewnie. Jeden czy dwóch chłopów, wraca z powrotem, wrzynając się głębiej kołami w miękką drogę, podczas zawracania. Nadjechał oddział. Są to oddziały artylerii, z armatami ciągniętymi przez sześć ciężkich koni. Grube postronki uprząży, mocno naciągnięte od ciężaru. Wyssokie koła powoli się obracają, jeszcze głębiej, przeorują ziemię. – On zwariował... Patrzcie! – Stracił rozum... Popatrzcie na niego – szemrały baby. Ale jechać, – nie jechali. Kto to wie, jaka siła przemawia przez tego „nawiedzonego”... Oddział artylerii przeciągał powoli i to przeszkodziło wieśniakom ruszyć. – Dokąd głupcy jedziecie? – wyrwało się jakiemuś artylerzyście, który siedział na koniu, z krótkim krzywym mieczem, przy boku. Ot, dowieziemy amunicji i zasypjemy Niemca! ..To było wsparcie dla Matwieja. – Tak! – krzyknął – głupi będziemy, jak ruszymy. Wracajcie, wszyscy! Ludzie się zawahali. – Hm... Jeśli on nie idzie... Kto to wie... Może to i tak... Jak on... Może naprawdę, trzeba nam zawrócić? Może i „rzeczywiście”, lepiej będzie przenocować w domu? Do nocy, kto wie, czy dowlecemy się do Szumska. Może lepiej jutro. I ludzie naprawdę zaczęli wracać. To „zasypjemy Niemca”, było widocznie, najbardziej przekonujące. A inwentarz, i tak trzeba wysłać przodem. Bitwa Matwieja z wieśniakami i swoimi współmieszkańcami, skończyła się jego zwycięstwem. Poważnie zadowolony, on, niby jakiś wielki mówca, schodził z trybuny, wycierając spokojnie, szerokie czoło. Katarzyna z Wołodźkiem, wygania z chlewa krowy. Rogata, Raba, Siwieńka i dwoje cielaków. Matwiej, nawet nie chce patrzeć. Poszedł szybko do chaty i wyniósł siwą, „kredytową” – trzyróblówkę. – Masz! – powiedział twardo, podając Katarzynie pieniądze. Katarzyna wzięła. Nastia wcisnęła Wołodźkowi węzełek pieczonego prosiaka. Chleba nie warto w taką drogę ciągnąć. Kupi się w Szumsku... Poczekali z inwentarzem, póki nie przygonili wszyscy mieszkańcy. Do mieszkańców Dermania, dołączyło tylko dwoje, czy troje. Gnali cielęta i nawet świnię. Dziwne, ale Wołodźko, tylko na zewnątrz, wyglądał, jakby mu było smutno zostawiać dom. W duży (nie chciał, czy wstydził się przyznać), nawet był rad, tą swoją osobistą i osobliwą radością, gdyż jemu udało się zobaczyć, czy przeżyć, coś nowego. Do tego, był zakłopotany. Wychodząc, ani razu nie obejrzał się na to miejsce, gdzie zostawa-

ło kilka budynków, otoczonych naokoło małymi drzewkami. Z zachodu, dosyć szybko nasuwały się łaciate chmury. Wołodźko, nawet nie ma przy sobie cieplejszej odzieży. W watowanej, krótkiej kurteczce, buty związał i niesie, przewieszzone na ramieniu. To wszystko. Katarzyna ma jeszcze wielką chustę. Poganiają inwentarz same dziewczyny. Uljana Tarasowa, Krystyna Kuźmowa, Titowa Charitina i jeszcze kilka. Wołodźko, jak się okazało, był jedynym przedstawicielem sławnego rodu, w całym tym żeńskim towarzystwie. To go nie za bardzo cieszyło, chociaż reszta była całkiem zadowolona, że mają takiego, czołobitnego pastucha.

Po drodze, dziewczyny się śmieją, żartują, pokazują Moskałom zęby i cierpko odpowiadają, na nie mniej cierpkie, zaczepki i pytania. Im, jak widać, jest całkiem obojętne, że może na zawsze opuszczają swoje domy i rodzinę. Wołodźko przez całą drogę, ma poważną i zakłopotaną minę. Obserwuje, przysłuchuje się, wczuwa całym swoim wnętrzem, w nastroje otoczenia. Z obawą, przygląda się nadchodzącym chmurom, które na szczęście, po dojeździe do żołobieckiego lasu, powoli się rozplywały i niemal, znikają. Wschód, nawet jakby uśmiechał się błękitem i zdawało się, jakby tam, leżała ta szczęśliwa kraina, która przygarnie tych, co zechcą uciec od surowego oblicza wojny. Trochę zmienił się nastrój dziewcząt, gdy dotarli wieczorem do miasteczka. Są już w Rachmanowie, oddzielnym od miasteczka stawem, gdzie było wielkie zbiorowisko wojskowych i wozów, uciekinierów. Szlak zmienił się w grząskie bagno, w którym koła wozów grzęzły po osie. Część wozów ugrzęzła i nie mogła jechać dalej. Wyprzęgali konie z innych wozów, sprzęgali poczwornie i tak się ratowali.

Wojskowe dwukółki, taczanki, brycz-

ki, zaprężone w cztery silne konie, przyczynają bagno, czepiają się wiejskich wozów, wyrrywają im dyszle. Baby wrzeszczą, wyzywają się. Dzieci poplakują, wołają płacząc. To wszystko, nie mogło dobrze wpłynąć na dziewczęta. Póki przedostali się przez groblę, zaczynało się ściemniać. Do tego, zagubili dwoje świń i samochód ciężarowy je rozjechał, gdy się zlekły i wpadły pod koła... Na noc, zatrzymali się na polu pod miasteczkiem. Pole szerokie, równe, jak okiem sięgnąć, zastawione niekończącym się taborem wojska i uciekinierów

Nigdzie, nie ma kawaleczka, wolnego miejsca. Ludzi tyle, co owadów w roju. Dobrze, że przeszły chmury i przeszła groźba deszczu. Chłód, także niewiele dokuczał. Otoczeni byli na niewielkim placu, przez cywilny z jednej strony i wojskowy obóz, z drugiej. Wołodźko ma spory kłopot. Nie ma czym poprzywiązywać na noc chudoby. Nie ma z czego rozpaść ognia, nie ma na czym spać. Obóz uciekinierów, rozpała ognisko. Na najbliższym wozie, matka głośno, ze swoim dzieckiem, odmawia „*Ojcie nasz*”. Jej słowa brzmią, „*jak nasze*”. To, widać, „*Galicjanka*”. Mężczyzna, wysoko nad głową, wymachuje siekierą, rąbiąc wielkie pnie na szczapy. W wojskowym obozie, trąbka ogłasza wieczernę. Słychać ciągnące szlakiem i warczące auta, z zapalonymi reflektorami. Wołodźko myśli, jak i gdzie znaleźć niezbędne miejsce i rozłożyć się do snu. Dziewczyny, jak potopione brudne nogi spódnicami i płaczą. „*Boże, jakie one głupie – myśli Wołodźko – Od razu płaczą... A nie myślały, jak wychodziły z domu, co będą robić*”... Wołodźko idzie między tabory, zbiera rozrzucone kupki pomiętej słomy, szczapki drewna, puszek po konserwach. Wszystko to, znosi do swego wozu. Jemu, wcale nie jest smut-

no. Odwrotnie. Wszystko to przyjmuje, jak fantastyczną przygodę, z powieści... Może oni są w jakiejś tatarskiej niewoli, przemocą wyrwani z rodzinnych gniazd? A może, płynęli wzburzonym morzem i ich statek się rozbił, a oni musieli dobić, do jakiegoś brzegu, dziwnego cesarstwa, gdzie naród żyje na wozach? I dlatego, oni muszą jakoś się ratować, znajdować wyjście z każdej sytuacji i dawać sobie radę? Oto, Wołodźko naznosił sporo słomy. Można będzie ją rozścielić i wszyscy ułożą się do snu, na miękkim legowisku, pod jasnymi, wysokimi chmurami. U niego, kupka drewniaków i dla każdego, starczy po blaszance, z konserw. Tylko trochę poczekać. On podejdzie do tamtego wozu i poprosi głównię z ogniem. To dobrzy ludzie... Prosimy, prosimy... Weź sobie. Ognia, dzięki Bogu, nie kupujemy... To Boży dar... Wołodźko niesie głównię, iskrzy się naokoło, jak złote nitki, kręcą się i znikają iskry, nie doleciawszy do ziemi. Dziewczyny patrzą, jak on pracuje i same też zaczęły się ruszać. Każda bierze blaszankę i już krew zaczyna krążyć. Dostały, od krów, ile mogły, ciepłego mleka. Chleb jest, mięso jest. Oto Wołodźko, na kolanach, wystawił do góry połatanie siedzenie, a nos prawie przyłożył do palącego się polana. Z wszystkich sił dmucha w żar, przyłożywszy do niego wiązkę słomy. Poszedł dym i nieproszony, do oczu się wciska. Wołodźce oczyma i nosem, trochę pociekło, ale na to ma pięści, by sobie nimi się powycierał. A do tego, można mocno pociągnąć nosem, i „*bodajżeś się spaliło*”, z całego serca zakląć. Ogień, radośnie buchnął. Wołodźko zrywa się na nogi i patrzy w dół, niczym zwycięzca. Trzaski, odpryski z wozów, Bóg wie co, wyrzucone, skrawki drzewa, wydały same z siebie, najpiękniejszą pożywkę, jaki języki ognia smakowały z największym apetytem. Dziewczyny, ze wszystkich

stron się poschodziły i grzeją nogi. Ich twarze, powoli jaśnieją. Jedli chleb z mięsem, pili mleko. Wołodźko nie będzie, ot, tak sobie, pił surowego mleka. On przecież ma cudowną blaszankę, jaką znalazł tam, koło obozu moskali... Położy ją, postawi na niej blaszankę po konserwie z mlekiem, postawi na ogniu. Ogień płonie i mleko się grzeje. A chyba mu język nie ucieknie, jak trochę poczeka... O, o Wołodźko! Mleko się przewróciło!..A bodaj byś się spaliła, ty jakaś taka, blacho! Jak może człowiek wiedzieć, że ta blacha, z takiego jakiegoś metalu, (cholera parszywa), że wzięła, i... się spaliła... A mleko się wylało... Całe, na ogień... Ach! Wołodźko ratuje choć ogień... Żeby chociaż ogień był, to jakoś prześpi całą noc i bez mleka... Kładzie słomę, suche trzaski... Ogień przebił się znowu... i znowu się od niego zrobiło wesoło... Ziemia powoli wciąga w siebie, wylane mleko... Kuźmowa, czerwono szczeka i czarnooka, ponura Chrystia, zarechotały. Wołodźko, popatrzył na nie niechętnym okiem. Czemu to, jak mówią, szczerzycie zęby. ...Ale one nie tylko rechotały. Nie. One wzięły swoje blaszanki i poszły między krowy. One, niebogi, tak się wkoło zbiły w kupę, żują szerokimi pyskami, i wielkimi oczyma, jakby dumają, do nieskończoności durną, zadumą. Szybko, zaćwierkały po blaszankach, strumyki mleka i po chwili, Wołodźko znowu przystawił do ognia swoją blaszankę z mlekiem. Uparł się. Raz powiedział, że surowego mleka pić nie będzie, no to nie! I teraz postawił na swoim. Mleko zakipiało, a Chrystia po swojemu sobie radziła. Kto wie, czy jej nie spodobał się taki dziwak, jak Wołodźko... Kto to wie... Wieczór nie zakończył się długo... Ogień w obozie się rozpalili, wszędzie wokół, jaśniały... Przy sąsiednim ognisku, siedział na ławce chudy, długowłosey, dziadźko, palił lulkę i splotwał w ogień. Wołodź-

ko zostawił dziewczyny i podszedł do niego. Ja znowu do was. Wiecie, my wybraliśmy się z chudobą naprzód... Nasi jutro przyjdą... Niczego z sobą nie mamy. ... Nie wiecie dziadźku, gdzie tu brać drewno na ogień? ... Dziadźko, nie od razu odpowiedział. Nie. On najpierw wyjął z ust lulkę, splunął, przymrużywszy oczy, w ogień. I zwrócił głowę do Wołodźka.

– Co? – zaczął, urywając ... Wołodźko musiał powtórzyć swoje pytanie. – A ty skąd?... – Z Tylawki... Hmm... daleko, tam wojna? ...Prawdę mówiąc, nie wiem... Jak wychodziliśmy, mówili, że za Krzemieńcem... – Ehe? Tfu! – i zaciągnął się... Wołodźko się zdziwił. Jakiś dziwny człowiek. Jego żona, co mówiła „*Ojczy nasz*”, chyba śpi. Dziecko, też, chyba śpi. A on oto siedzi i martwi się, a może się i nie martwi, bo wyraz jego twarzy, nie jest smutny. Wóz z budą, stoi. Przy nim, para koni i krowa. Pod wozem, cebrzyk. Do półdrabki, przywiązana dojnica. – A masz ojca? – Znienacka zapytał, nie wyjmując z ust lulki...

– Jest. Krótko odparł chłopiec... – Na wojnie?.. Eee, gdzie tam, zaprzeczył Wołodźko tak, jakby mu nawet na myśl nie przyszło, że jego ojciec mógłby być na wojnie... – A brat jest? I czego on chce. Po co mu to wiedzieć... Dwóch, mam. – Na wojnie? ...W domu... Starszego, pewno wkrótce zabiorą... To ty, szczęśliwy, bo jesteś w domu. Wszyscy w domu. A ja myślę... Siedzę i myślę. Ot, jak wkoło wielu ludzi... Wszyscy ludzie, to wszyscy są ludzie... A ja. Miałem i ja trzech synów. Zabrali ich. W budzie jest kobieta z dzieckiem. Adi, ma siódmy rok. Mego starszego... Mówią, że dostał się do niewoli i pognali go na Sybir. ...Na Sybir... Obaj młodszy, sami poszli... Jak to mówią, chcieli pójść między ludzi... Świat zobaczyć... Do gimnazjum, do miasta posłałem. Et! – stary machnął ręką. Uczyli się. I

przyszła wojna. Obaj dostali się do strzelców siczowych. A teraz? Czy ja wiem? Wołodźko, nie miał ochoty słuchać historii jego rodu. Ale wyraz twarzy i mowa starszego człowieka, takie szczere i proste, sprawiły, że się przysiadł i zaczął go słuchać. Starzec opowiadał o swoim życiu. Kilka razy wymienił słowo Ukraina. Wołodźko słuchał, ale bardziej z szacunku dla niego, niż z ciekawości. On potrzebuje drzewa na ogień. A stary, widać, że nie ma z kim się podzielić, swoimi myślami. Rozmawiać z nim, jak ze starym. I czemuś Wołodźkowi on przypominał dziadka Juchima, jego pasiekę i jego gospodę z sadem i czereśniami. Jak to oni, siedzieli kiedyś w sadzie i czytali. ..Ach, jak to było dawno. Na ogniu palą się szerokie poczerniałe deski, z żydowskimi napisami. – Gdzie nabraliście tego drzewa? – pyta Wołodźko?... Tych? – Aha? – Tam. Tam. Tam jest cmentarzysko. Wojacy rozebrali częstokół... Nie ma czym palić... Zmarzniemy, bez watry. Poszli, i daj Boże, proszę wybaczyć, martwych okradli... Martwych, nie można niepokoić. Ale co zrobić... A nigdzie, więcej, tu nie można dostać drzewa? Stary pokiwał głową. Przy tym nie odrywał oczu od ognia, jakby tam coś odczytywał. ..Ja tam mam dosyć, weź i sobie... Weź, weź, chłopcze. Ot, dziękuję wam! – Aż wykrzyknął Wołodźko. Taki dobry, dziadźko... On jeszcze na starego nie wygląda, a już ma trzech synów. Martwi się biedaczysko. Widać, był dobrym „*gazdą*”. Ręce i czoło i oczy, świadczą o tym. ...Na całym naszym świecie, są dobrzy gazdowie. Rozumni, poważni ludzie, „*z sensem*”, jak by powiedział jego ojciec. Z Austrii, a całkiem jak nasz – myślał chłopiec. Nabral drzewa na ręce i wyszedł. Koło swego ogniska, zastał Moskali. Dziewczyny, jak owce, zbily się w krąg, i odpowiadały na zapytania żołnierzy. Wołodźkowi się to nie podo-

bało. Lepiej, by sobie gdzieś poszli. Nie dadzą spać. Rozścielają słomę i wszyscy hurtem się kładą. Przepędzili jednak morskali i oni poszli precz. Dziewczyny mają do okrycia wielkie chusty, a Wołodźko nie ma niczego. Ale, jakoś to do jutra, wytrzyma. Położył większy ogień, zwinął się w kłębek i jak pies, zasnął. Ale nie spał długo. Zbudził go chłód. Ogień zgasł i zrobiło się całkiem ciemno. Drzewa, więcej nie było. Po plecach, biegają mu muszki chłodu. Popatrzył na dziewczyny, na bydło. Dziewczyny śmiesznie śpią, poskręcane po dwie. Wstał i popatrzył na bydło. Było go o wiele za mało. Brakuje wiele krów. Z jego trzody, nie ma Rogatej i obydwu opasów. – Hej, hej! Dziewczyno! – krzyknął na śpiące. Wstawajcie! Nie ma bydła! – Co? Gdzie? Dziewczęta zerwały się, jak oparzone, na nogi. Każda rzuciła się do swoich krów. Poświeć. Zaczęły w pobliżu szukać, ale nadaremnie. Co za nieszczęście! Noc, chłód, nieskończony, śpiący obóz, spowity dymem i mgłą. Z chłodu Wołodźko szczęka zębami. Dziewczęta, znowu się rozplakały. Trzeba szukać! Gdzieś się pasą. Ukraść nikt nie mógł, bo komu teraz potrzebne są krowy. Wołodźko zostawia zaspiane, zmartwione dziewczyny i udaje się do taboru. Ogląda dokładnie wozy, bydło przy nich. ...Koło niektórych, rozpalone wielkie ogniska. Na nich płoną wielkie pnie. Ludzie śpią na wozach, pod wozami. Na ziemi, koło ognisk. Wołodźko, zatrzymuje się nieraz, aby się pogrzać się i rusza dalej. Obóz ciągnie się w nieskończoność. Maleńkie przejścia, namioty, budy, ognie. Poprzywiązywana do wbitych w ziemię pali, chudoba. Konie, cokolwiek chrupią, krowy przeżuwiają, ludzie chrapią. Po szosie, jeszcze ciągną tłumy i daleko świecą, swoimi próżnymi, jaskrawymi światłami, reflektory aut. Śpią tu miliony ludzi. W górze, ciężkie niebo, z jesiennymi odbla-

skami chmur. Huki armat, przypominają o bliskości frontu. Niebo tam, przypomina kryształową kulę z winem. Chłopiec długo się błakał pomiędzy wozami, błakał się, kilka razy, po tych samych miejscach, spoglądał na każdą krowę, wszystko bezskutecznie. Czasem, zdawało się, że już znalazł, że już wyraźnie widzi rogatą, cieliczkę... Podchodzi, nie. Musiał przekonać się, że to pomyłka. Długo tak błądził, póki wreszcie oprzytomniał. Męczył go, także bardzo, sen. Zechciał wrócić do swego taboru. Ale ile się namęczył, i nie mógł go znaleźć. Szedł, jak w omamie. Zwracał w prawo, w lewo, obchodził wozy, nadaremno. Ani krów, ani swoich ludzi. Zabłądził na amen. Trzeba przecześć do rana. Znajduje wielki ogień, koło niego wielką deskę, kładzie się. Oprócz niego, są tu dwaj mężczyźni, w porwanych butach. Obydwaj leżą na szerokich belkach, podkładający pod głowy po kawałku drzewa. Nie zauważył, kiedy zasnął. Spał mocno, smacznie. Nie bolał, nie śnił, nie miał ciężkich myśli. Sam jeden, pomiędzy niezliczoną liczbą obcych. Głowa leży na lewej ręce. Promień ognia, ostro oświetla, jego biedne oblicze. Jego podkurczone nogi, zwieszają się z pnia i opierają na pieńku, na którym, rąbią chyba drwa, gdyż jest pociachany. Spał dwie godziny. Przewrócił się. Ogień się dopala. Wielkie głownie się żarzą i pokrywają popiołem. Ludzie nie śpią. Mgliście. Na wschodzie, siwe niebo – chyba świta. Niedaleko leży, i szeroko rozwierając nozdrza, prycha krowa. Nie słychać pieśni, nie wyganiają na paszę, pastuchy, bydła. Nie ma chat. Nieskończony, przykryty mgłą, tabor. Zdziwił się, gdy znalazł swój obóz, całkiem w pobliżu. To zresztą, nie dziwne. Dziewczyny zbiły się w kupkę, i nielekkko je znaleźć. Bydło się rozproszyło. Wołodźko ich zastał, gdy wszyscy spali, głębokim snem. Pobudził ich. – A gdzie by-

dło „zapytał? A my ciebie, koczące spytamy – gdzie bydło? – No to, trzeba szukać! wykrzyknął. Samo ono nie wróci. Nie mieli już co powiedzieć. Poszli szukać. Teraz, przy dziennym świetle, nie było to tak trudno zrobić. Niedaleko, już z daleka rozpoznali swoje bydło. Poznali po rogach, która odznaczała się swoistą urodą. Krowy, spokojnie pasły się, na drugiej stronie szosy. Ciekawe, jak one tędy przeszły. Głód. Tak, głód je zagonił.

Zaczynał się nowy dzień, w nowych warunkach. Trzeba jakoś, przystosować się do własnych potrzeb, póki nie nadjadą wozy. Karmić zwierzęta, gotować śniadania, obiady. Szukają pastwisk i znajdują je na łąkach za Szumskiem. Dwoje dziewcząt wysyła do pasienia bydła, reszta gotuje obiad. Wołodźko, jako gospodarz, zajmuje się ogniem. Musi nazbierać drewna. I on sumiennie wykonuje swoje obowiązki. Główne, co go martwi i denerwuje, to zachowanie dziewcząt. Co to za niepozbiany naród. W domu, wytrzeszczają zęby i rechoczą, jak kobyły, że słysząc na całe pole, aż się pod las żołobiecki nie sie, a gdy tylko kilka godzin trudniejszego życia przychodzi, to zaraz słysząc płacz, smarkanie, narzekania. Pojawili się znowu moskale, żartują, jak zawsze. Dziewczyny, nadęte, i teraz im, nie do żartów. Ale ci, kręcą się tu cały czas. Wołodźko idzie rozejrzeć się po okolicy. Przedostając się przez tabor, zapamiętuje szczegóły, umożliwiające mu zapamiętać drogę powrotu. Za obozem, dolina i żydowski cmentarz. Ogrózenie wokół zniszczone. Tabliczki na mogiłach, gdzieniegdzie powyrywane. Sterczą same kamienne płyty. Co tam martwym? Niech tam walczą, umierają. Tu mają zaciszenie, cicho. Niedaleko jedyna chata, brudna, z otwartym oknem. W oknie, głowa długobrodego, całkiem białego Żyda. Na głowie jarmułka i czarna, maleńka czapeczka. Na plecach,

zarzucona, wzorzysta chusta. Postać starego, bezustannie się porusza, niczym wahałoby zegara. Podczas zamieszania i hałasu taboru, ten kąk z martwymi i starym, dziwnym Żydem, wydaje się Wołodźkowi, jakimś nadzwyczajnym i zagadkowym. Kamienne, gładziutkie płyty, dziwne napisy, jakich za nic, choćbyś pękł, nie zrozumiesz. Właśnie chyba tu, Chaim Cal, poważy mieszkaniec miasteczka Szumska, złożył swoje niespokojne kości. Jak dziwnie... Jak naprawdę, dziwnie. Wszystko dokoła takie dziwne, inne, niż było kiedyś. I mimowolnie, przypominając sobie minioną noc, błakania się między wozami i ogniami, miał przed sobą starego „galicianina”, który pluł do ognia. Przypomnił jeszcze raz, Żyda Juchima. Ciekawe, czy on jeszcze żyje. ...Przypomnił spacer z nim, w tę mglistą, pachnącą dolinę, kiedy mu odmówiły posłuszeństwa słabe nogi. Przypomina wyraźnie, jak dziećmi mówił o wojnie. Skąd on wiedział, że nadejdzie wojna? A ojcowskie sny? Ale czemu on, mały Wołodźko ma to wszystko sobie przypominać, każdy szczegół, nawlekać na łańcuszek myśli, porządkować wydarzenia, dni i ich nastroje? Tu, przecież są tysiące, tysiące, ludzi. Czy zastanawia się nad tym jeszcze ktoś, poza nim? Ze wszystkich mu znanych, oprócz ojca i tego starego z lulką, który pluł w ogień, na pewno nikt! Jak to być kimkolwiek, bać się i biec, upaść i płakać, wyraźnie należeć do tego skupiska ludzi, jak owce do stada. Przecież nie... Przez głowę przechodzi mu myśl, że on postępuje jak waga, wszystko co łąwią spojrzeniem oczy, on waży, i ocenia. Oczy płoną niedaremno, i nie na darmo, widzą drogę czarowne światło i wszystkie jego barwy, wokół rozlane, dokąd wstąpi jego noga. I czy nie widzi Wołodźko, że na jego oczach, tworzy się coś takiego niezwykłego, coś rzeczywiście,

wielkiego. On, rodził się w takim to, a takim roku, w głuchym zakątku świata i wydawało się, że całe jego życie będzie, niczym strumień spokojnej rzeki. A nie. Stało się tak, że on zobaczy wydarzenia, jakie tworzą się raz na wieki, które przetrną stary świat i otworzą drzwi na nowy. I pewnie Wołodźko ma wejść tędy, jako pierwszy – nie, będzie jednym, z pierwszych. Chyba tak. Szczęśliwy ty jesteś, Wołodźko. Będzie kiedyś pokój, zamilkną armaty, urodzą się i wyrosną, nowi ludzie, ale nie będą widzieć oni, ani tych moskali, ani tych koni, ani haliczan w kapeluszach z lulkami, ani taborów. ..I będą oni zazdrościć tym, którzy kiedyś marzyli, tworzyli i umierali. „*I wszystko, co ty widzisz, zapisuj*” – powiedział dziad Juchim, – „a ty będziesz wieczorami czytał i zachwycał się i myślał. Złe było, i sianie ognia i wybuchy gardeł armatnich i groza, jakiej świat nie widział, to nie rzeczywistość. Toż to jest, człowiecze, bajka. A co jest bardziej pociągającego, od bajki? A Wołodźko, sam przeżywał tę bajkę, widział ją oczyma, dotykał całym sobą jej istoty i przebolewał każde jej słowo, pisane ogniem i krwią. Nieraz, bywało, że chodził na miejsce bitwy. (Na wałach w Dermaniu). Mówili ludzie, że tam kozacy bili się z Polakami. Doznał wrażenia, jakoby spotkał postacie, które gdzieś daleko, daleko, w mroku przeszłości, niewyraźnie szły przed nim. Znajdował kości i zastanawiał się: kozacka? Polska? Kiedyś był to człowiek, który ciął, wymachując szablą... Ktoś i jego, ciął szabelką, i na ziemię spadła odcięta kostka. Znajdował i rzeczy. Na „*przydatku*” w Tylawce wyorano szablę. Tu, jak mówią, kozacki zagon wyciął w pień Polaków. Szabla gruba, gięta, ciężka. I to było tak dawno. Tylko książki, przypominają te czasy i barwnie o nich opowiadają. I niczego więcej. A to przecież ma przed oczyma. To nie opowiadanie,

nie sen. To rzeczywistość. Widział, jak ruscy szli pułkami w Karpaty, by tam złożyć białe kości. Zdobywali Austrię, Lwów, Przemyśl, sięgnęli pod Kraków. Zwyciężali i znikali. Zdrowi, wybierani to byli, ludzie. Cały czas śpiewali, tańczyli. I tam gdzieś, polegli. Wchodzili do Polski, bronili Warszawy, grzęźli w bagnach mazurskich, ginęli w lasach augustowskich. Ech, jakie były to pułki! Sybiracy, „*strzeleckie pułki*”. Łotysze, Chińczycy, Czerkiesi, Kubańskie sotnie, Donieckie. Można, wszystko zrozumieć. Można zrozumieć, czemu chińczyk nosi kosę, ale zrozumieć, ten kawałek czasu... O, to nie będzie takie zrozumiałe. Wołodźko, nie wszystko to dokładnie rozumie, tylko w przybliżeniu. W jego głowie kotłują się mgliste myśli, pełne ostrych przeciwieństw. Czuję, że gubi „*otczestwo*”. Jego imię pochodzi od niego, staje się kiedy indziej cudzym, otumania. Przystaje wierzyć, w niezwykłość „*ruskiego oręża*”. Święta Ruś, która „*w krasie carskiego oblicza, po całej ziemi się rozprzestrzeniła*”, traci swój powab i on, coraz mniej i mniej boleje, nad jej porażką. Do tych „*haliczano-austriaków*”, czuje więcej sił przyciągających, niż do kacapów, tatarów, kałmuków, czuje więcej przyjaznych sił, niż do Kacapów, Tatarów, Kałmuków, jacy wszyscy byli „*Ruskimi*”. Ach, co zresztą, u niego. Wstawaj, człowieku i idź dalej... Wołodźko, wstaje i idzie, szukać drzewa. Po długim błakaniu się, znajduje jakieś badyle i ciągnie je do obozu. W obozie dymi, gotują się obiady. Koło swego ogniska, nie wszystkich zastaje. Katarzyna, poszła do miasteczka kupować chleb i sznurek, aby na kolejną noc, było czym poprzewiązać bydło. Poza tym, nic się nie robi, aby jakoś lepiej przetrwać następną noc. Wszyscy czekają na swe rodziny, które mają, tuż tuż, nadjechać. Całą noc, kipiał bój i Austriacy, na pewno wyprą Ruskich.

Niedawno wróciła Katarzyna, przygnała z pastwiska bydło. Pali się ogień, doją krowy. W pożyczonym wiadrze, pieni się i paruje nad płonącym ogniem, kasza mleczna. Wykładają miskę i łyżki. Siadają wszyscy naokoło, na surowej ziemi, i siorbią łyżkami z jednej wielkiej michy, rzadką kaszę. Siorbią, milcząc. Nie żartują. Nie wytrzeszczają, jak zwykle, zębów. Nawet czerwono-szczeka, czarna Chrystia zamilkła. Gdzież tak. Południe mija, a z domu żadnych wieści. Może, wszyscy w niewoli. Może pojechali nie tą drogą. Może tędy, w lesie na Dermań, dołączyli do swoich, a ich wszystkich między obcymi ludźmi, na poniewierkę, zostawili. Takie myśli, takie troski, męczą i niepokoją dziewczyny, i one wpadają w czarną rozpacz niepewności i nerwów. Wołodźko, mimo tego, nie podziela ich goryczy. Ale na wszelki wypadek, wysłali za miasteczko do wsi dwie dziewczyny, aby czuwały, i gdyby jechały ich rodziny, wskazały, gdzie stoi obóz z bydłem. Szybko mija, pełen troski, dzień. Słońce, zachodzi czerwono. Wróciły dziewczyny, ale same. W taborze połyskuje ogień. Dziewczyny umilkły. Koło nich, znowu uwijają się moskale, napraszają się na nocleg. Dziewczyny odgryzają się, ale w ich mowie, nie czuje się zdecydowania. To czemuś, niepokoi Wołodźkę. On cały dzień pracował. Ściągał i ciosał kołki, wbijał w ziemię, przywiązywał krowy, znosił drwa na ognisko. A te dziewczyniska, jakby podurniały. Ponadmały się, jak pieczarki. Całą noc, ich tabor ma wygląd całkiem przyzwoity. Krowy poprzywiązywane, świnię, zagnane do małego pomieszczenia. Pali się ogień. Dziewczęta, legły wszystkie razem, nogami do ognia, a Wołodźka wzięły w środek, aby nie leźli do nich moskale. Ci kręcą się naokoło, niczym głodne wilki. Jeden żołnierz, na Chrystusa Pana, błaga: – Głupie dziewczki...

Jaż wam, niczego złego, nie zrobię. Cóż, nawet nie można na was popatrzeć? Jutro, stamtąd przyniosę wam pół puda krup gryczanych... Naprawdę, przyniosę...

– Idźcie Moskalu tam, skąd przyszliście – odgryzają się dziewczyny, a same ściskają się, niczym owce, jedna do drugiej. Wołodźce ciasno, ale zmęczony i niewyspany poprzedniej nocy, on szybko oddaje się na łaskę i niełaskę ciężkiego snu. Odwrócił się. Podniósł głowę. Jasne niebo, jesienna rosa, dogasa ognisko, ledwo się tłąc. Ziemia wilgotna. Po plecach, przenikliwie przechodzi chłód. Skóra się jeży. Wstał, aby podrzucić drzewo do ognia.

Chłodno, ogień gaśnie. Drzewa, nie chce się dorzucać. Zdecydował gdzieś pójść. I Wołodźko ruszył po obozie, szukać lepszego miejsca. Długo płacze się, między wozami. Pałą się ogniska, wkoło pełno śpiących ludzi. Po godzinnej błakaninie, znalazł przytulne miejsce. Wielki ogień. Z obu boków, śpią ludzie. Pośrodku, belka z jakiegoś budynku. Rozkosznie się na niej rozłożył i postanowił zasnąć. Ale to nie tak lekko. Myśli, chłód. Obróci się do ognia, przodem – marzną plecy. Tyłem – piersi i brzuch, niezadowolone. Nie zapomniał i o domu. Oto już druga noc, w tym mrowisku, a co tam? Aby czasem oni się nie zagubili i nie pojechali, Bóg wie, dokąd. Zostać? Oby nie z tymi nieznoszonymi dziewczynami. I tak zasnął. Obudził go, dopiero rano, czerwono pyski mężczyzna. Potrzebował drzewa na ogień. Wołodźko zerwał się, jak zając i poszedł precz. Do swego obozu doszedł późno. Dziewczyny się niesamowicie, rozgospodarzyły. Same dmuchały w ogień, i próbowały dymu. Zobaczyły Wołodźkę, i wszystkie chórem:

– Aaa! Wołodźko! A gdzie tyś przepadł?... Wołodźko rzucił ostrym okiem naokoło i zauważył torebkę, z gryczanymi



krupami. To go zaskoczyło. Przypomniał sobie wczorajszą obietnicę Moskala. Wołodźko, aż nadto dobrze wie, skąd zjawiała się tu ta torba. Usta, czy dokładniej, kąci ki jego ust, opadły i na nich wykwitł złośliwy uśmiech. W duszy, niszczył ich, samymi dosadnymi przekleństwami, jakie tylko istnieją na świecie. Wołodźko, nie jest teraz Wołodźką. Nadął się i, w każdym razie on, o mało co, stał się jakby jakimś bądź, poważnym dziadkiem, albo nie wiem, kim. Na dziewczyny, nawet nie zwraca uwagi. Christia Małochwost, która była podobna do wiatru i do zachodu słońca, przed burzą, zaczęła nim tarmosić, ale to nic jej nie pomoże. On teraz, ani myśli podrzucać im drwa. Niech same sobie idą szukać, jeśli takie mądre. On idzie teraz sam, na groblę, wyglądać swoich bliskich. Niech sobie tu wstrętne dziewczyniska robią, co chcą. I to nie jest tylko groźba. O, naprawdę, nie. Wołodźko obraca się i odchodzi.

O-o-o! Patrzą, patrzą.... Zgłupiał chłopczyśko, – zatrajkotała Katarzyna. – A dokąd to, ty idziesz?! Zaraz kaszę ugotujemy! ..To na Wołodźka działa, jak iskra na beczkę prochu. – Sama jedz, tę kaszę! A ja nie będę jadł, byle jakiej darowizny... – Tiu, tiu, tiu ...Zgłupiał. Stracił rozum!... Ale Wołodźko już nie słucha. On szybko wychodzi z miasteczka i idzie prosto do kuźni, która stoi blisko szosy. Niczego jeszcze, nie jadł. Nie wziął ze sobą ani chleba, ani groszy. Twardo zdecydował się, iść na groblę i nie wracać, póki nie przyjdzie ojciec. Już oto, on jest koło kuźni. To długa szopa, jakby mistrzostwa technicznego. Dzwoni żelazo, stuka naraz kilka młotów, syczy i pluje żarem gardziel. Po kulistym bruku, toczą się auta, podkuwają wierzchowce. Ale co to? Toż niemożliwe... Stanął i patrzy. Tak! Tak. Toż to ojciec. I jak dziwnie. Między wierzchowcami, na osiodlanej, brzuchatej kasztance, cwałuje ojciec. Długie nogi zwisają i mało co, nie dotykają ziemi. Jasna postać, na głowie znajomy, zatłuszczony od potu kaszkiet, barwy ciemno-zielonej. „Tatusiu!” – wykrzyknął chłopiec w myślach. „Drogi tato!” – Tatuuu! – krzyczy głośno. Matwiej się ogłąda, ale nie od razu, spostrzega Wołodźkę. Przy kuźni, jest tak wiele narodu. – Jestem tutaj, tato! Matwiej go spostrzegł i podjechał. Kobyła spocona, ciężko sapie. Wiadać, szybko cwałował.

– Gdzie dziewczynny z chudobą? – to było pierwsze pytanie ojca. – Tam, ojcie! Niedaleko. Myśmy tam się, rozłokowali. A co w domu? Gdzie nasi wszyscy? – W porządku, Wołodźko! – wykrzykuje Matwiej. – Wszystko dobrze! My jeszcze wszyscy w domu. Front, zatrzymał się za Krzemieńcem. Natarcie Austriaków, zostało odparte...Teraz trzeba wracać do domu z inwentarzem! Matwiej cieszy się, jak chłopczyk. Cała ta radość, udziela się

Wołodźce. – Do domu! Po co tutaj tkwić? Cudownie. To znaczy, wszystko w porządku. Pogonią bydło do domu i tam zostaną. Jak to cudownie. Wołodźko prawie skacze ze szczęścia. Idzie koło kobyły i rozpytuje ojca o wszystko, jakby on przed chwilą wrócił z domu.

Okazało się, że całą najbliższą noc, strzelali z armat. Bili się, zawzięcie. Ziemia, niczym bęben, dudniła. Ale rzeczka Ikwa, nie przepuściła Austriaków. Rosjanie, okopują się. Wołodźko, gotów był nawet z dziewczynami się pogodzić. Ale one, teraz są jemu, niepotrzebne. On jest teraz razem, z ojcem. Razem z ojcem, przybyli do obozu, ku wielkiemu zdziwieniu dziewcząt. – Oooo! – wykrzyknęły wszystkie naraz. – Dziadźko Matwiej! Boże! Oczy patrząc, goreją. Gdzieś, podziało się zdenerwowanie, płacz. Dziadźko Matwiej, zjawił się, niczym dobry duch, wyzwolenia. Obstąpili go, każda szarpie do siebie, rozpytują, jedna przez drugą, że i nie nadążasz odpowiadać. A Matwiej, nie jest taki, jak zawsze. Nie ma surowych oczu, ani nastroszonych brwi. Jest ciepły i przyjazny, niczym pszeniczny pieróg. Gdy ta wiadomość, dotarła do wszystkich, że wracają do domu, zatupali, zapiszczeli, jakby pogłupieli. Ci, co pogonili bydło na pastwisko, w mig przylecieli z powrotem. Matwiej zarządził, by zebrać bydło i ruszyć w drogę. A tymczasem rozwijał torbę z żywnością. Wołodźko rzucił się na domowe jedzenie, jak wilk. Na ogniu, gotowała się kasza.

– Czemu, dziewczynom nie dajesz mięsa? – zapytał Wołodźkę ojciec. – Co, ty jesteś najgłodniejszy, czy co? – A on, tutaj nie chciał jeść! – zauważyła któraś. – A to czemu? – Eee, Wołodźko, tak nie można... Gdzie wziął się u ojca taki łagodny głos? Dziwne. A na dziewczyny, popatrzył Wołodźko z wyrzutem. W jego oczach, pojawiły się łzy. – Ech, wyrwa-

ło mu się – co tu powiedzieć...? I więcej niczego, nie powiedział. Dziewczyny, są mu wdzięczne. Taki, dziwny. Inny, na pewno, na jego miejscu, by nie wiadomo co, nagadał. Gonili bydło do samego wieczoru. Gonili nie szlakiem, lecz bocznymi drogami. Wołodźko, czuł bardzo zmęczenie i ojciec kilka razy, dawał mu kasztankę. – Jedź! Mnie już całkiem nie boli. Pędził, jak wiatr. Nocami, prawie nie spał. Wołodźko jechał. Mijali pola, łągi, wsie. Ojciec zsunął kaszkiet na potylicę i był nadzwyczaj rozmowny. W połowie drogi, Wołodźko podjechał do niego. Teraz jedźcie wy, tato! Ja już odpocząłem. No, no... Jedź, jedź... Nieśli do rodzinnych chat zmęczenie i radość.

Jakie, czarowne to są rzeczy – swoja chata i wszyscy dokoła. Jak przyjemnie, siąść na ławie, za znajomym stołem. Na nim miska tłustej, gorącej zupy. Zakłopotana matka, z uśmiechem na ustach, i łąą w oczach. Pracują łyżki, zęby. Para posilku, łaskocze nozdrza. Urywane opowieści. I, zdaje się, nie ma siły, jaka by mogła rozzerwać, ten maleńki krąg ludzi, nazywających siebie: tato, mama i dzieci.

Ulas Samczuk

*Tłumaczenie z języka ukraińskiego
Alfons Soczyński, Alf*

Przygotowujemy do druku t. II epopei Ułasa Samczuka „Wołyń”. Proponujemy uwadze naszych P.T. Czytelników tłumaczenie III rozdziału pióra Alfonsa Soczyńskiego „Alfa”.



Wśród książek - Среди книжок

«BŁOGOSŁAWIONA WIEŚ» PAMIĘTNIK MATKI



Wołyń, a zwłaszcza tamtejszy Kościół i żyjący na tej ziemi Polacy cieszą się dużym zainteresowaniem zarówno kapłanów, jak i wiernych w Polsce. Wyraża się to nie tylko poprzez niesienie konkretnej pomocy potrzebującym, ale też między innymi we współpracy z czasopiśmie „Wołanie z Wołynia” i propagowaniu jego tematyki. Dlatego z pewnością wielu zainteresują niezwykle wspomnienia pt. «Błogosławiona wieś» autorstwa Heleny Poppek, dziewczyny cudem ocalałej z pożogi wołyńskiej, później żony, matki i babci.

Publikacji o Kresach w polskim piśmiennictwie nie brakuje. Mamy na ten temat teksty o wymowie tragicznej i sentymentalnej, nad wyraz nostalgicznej i erudycyjnej. Wspomnienia Heleny Po-

pek, zatytułowane doprawdy wymownie Błogosławiona wieś, stanowią, nawet na tak bardzo bogatym tle, zjawisko zupełnie nowe. I to nie tylko ze względu na rzetelność narracji. Jest to sposób opowiadania, który swą drobiazgowością przypomina choćby autobiografię «Z Korborni w świat» Stanisława Pigonia. W opisie swojej rodzinnej wołyńskiej wsi Ostrówki autorka sięga, oprócz własnej pamięci, do relacji innych ludzi, którzy przeżyli ten trudny czas, do listów, anegdot, pieśni religijnych i patriotycznych. Ujawnia przy tym niezwykle talent dostrzegania wielkich nurtów historii w losach konkretnych pojedynczych ludzi.

Przeżyła czas wielkiej trwogi, gdy jako dorastająca dziewczyna pod koniec sierpnia 1943 r. uszła z rodzinnej wsi, cudem uratowana przed krwawą sotnią Ukraińskiej Powstańczej Armii. Wymordowano wtedy wielu mieszkańców jej rodzinnej Arkadii. Zginęli jej najbliżsi: ojciec oraz siostra z mężem i dziećmi. Nigdy nie wyzwoliła się od tej trwogi, która zapędziła ją na Chełmszczyznę. Zmarła w 2012 roku.

«Błogosławiona wieś», oprócz setek nazwisk, obrazów i wymownych scen, zawiera w sobie przekonanie o fatalnej nieuchronności. Przypomina i z bólem ilustruje, jak Nemezis historii sunęła przez Wołyń, pochłaniając dwory, chaty, kościoły i cmentarze, wielu ludzi mordując, albo w lepszym razie zsyłając na poniewierkę, a innych pozbawiając pamięci i języka.

Książka Heleny Poppek barwnie maluje urok wsi wołyńskiej. Przypomina jednocześnie, jak owa wieś, która miała swoje niepowtarzalne piękno i bogate trady-

cje, bezpowrotnie zginęła. Zwięźle opowiada, jak brutalnie płonął Wołyń w wyniku zatrucia nienawiścią krwi pobratymczej. Nie jest to wszelako jakiś pamflet ani akt oskarżenia. Nie ma w tej książce zapalczywej zemsty ani szukania odwetu. Jest natomiast spokojnie wyrażone przesłanie, aby już nigdy człowiek człowiekowi nie zgotował takiego losu. A my nie możemy i nie powinniśmy patrzeć na to tylko osłupiałym wzrokiem i jedynie rzewnie wspominać.

Przeczytajmy uważnie choćby te słowa z bolesnych wspomnień autorki. Zapamiętajmy je. Nie można ich czytać bez głębokich emocji.

„Pamiętam ten najboleśniejszy i najtragiczniejszy dzień w mojej rodzinnej wiosce – 30 sierpnia 1943 r. Wczesnym rankiem, o świcie, widzę bezbronną wieś otoczoną hordą zdziczałych napastników, pędzących niewinnych ludzi na miejsce zbrodni. I słyszę straszne uderzenia młotami, maczugami w głowy naszych ojców, dziadków i braci, wrzucanych w nieludzki sposób do jednej strasznej mogiły. W tym samym czasie mordercy wrzucają rwańce granaty do szkoły i podpalają. Straszny obraz, płomienie buchające pod niebiosy, cała szkoła w ogniu z niewinnymi dziećmi i matkami. Słysząc słowa wzajemnego przebaczenia, spowiedź powszechna i pieśń »Serdeczna matko«. Po raz ostatni widzę tę długą drogę, bolesną i krzyżową! Drogę kobiet niosących na rękach swoje małe dzieci na miejsce zbrodni, gdy słyszą głosy przestraszonych dzieci: mamo ja się boję, mamo ukryj mnie, tuląc się do matek. I ostatnia błagalna prośba matek: darujcie nam życie, nie zabijajcie naszych dzieci, one wam nic nie winne. Lecz skamieniałe serca zbrodniarzy nie miały litości. I wykonały swój wyrok na niewinnych matkach i dzieciach. Leży zamordowany wierny kapłan i dobry pasterz, który nie



Helena Popok

Fot. Przystanek Historia»

opuścił swej owczarni do końca. Straszny widok mojej wioski rodzinnej. Niepożrebane ciała, niedopalone doły. A pozostałe niedobitki obnażone, gołe i bose, wypędzone idą w świat na tułactwo. Piękna wieś przestała istnieć. Nic nie pozostało, jeno tylko cisza grobowa, wielka żaloba. [...]. To wszystko widzę i słyszę i nigdy nie zapomnę” (s. 298-299).

Takich przeżyć i krwawych obrazów nie można wyrugować z pamięci. Nie zapomniał ich syn autorki, dr Leon Popok, który z wielką troską i naukową akrybią fachowo pod każdym względem przygotował do druku wspomnienia swojej Mamy. Z matczynym mlekiem wyssał miłość do Wołynia – do jego historii, piękna codziennego życia, a przede wszystkim do tak bolesnych lat drugiej wojny światowej. Z przekonaniem wyznał: *„Miałem to szczęście, że była moją Matką i tak wiele się od Niej nauczyłem, usłyszałem, rozmawiałem. Dziś wiem, że o wiele za mało...”* (s. 20). Rzeczywiście dorobek dra Popka w dziedzinie tematyki wołyńskiej jest imponujący.

Leon Popok jest nie tylko autorem „Wstępu” zatytułowanego po prostu „Moja Mama”, ale też napisał zarys dziejów Ostrówka i Woli Ostrowieckiej (s.

7-84). Stanisława Niebrzegowska-Bartmińska natomiast dodała do książki ciekawą swoją rozprawę, wymownie zatytułowaną „*«Błogosławiona» znaczy «szczęśliwa»*». *Obraz wołyńskiej wsi jako miejsca utraconego w relacjach wspomnieniowych Heleny Popek*” (s. 85-108).

Wielkie uznanie należy się też Instytutowi Pamięci Narodowej oraz Wydawnictwu Polihymnia za ostateczne przygotowanie do druku i wydanie tych arcyciekawych wspomnień.

Książka Heleny Popek jest przede wszystkim niezwykłym świadectwem. W świadectwie zaś nie może być fałszu. Świadectwo jest wzorem. Uczy, co dobre, co warto naśladować... Pokazuje też, co bezprawne i złe... Dobitnie i jednoznacznie przestrzega przed tym, czego należy unikać... Publikacja została wzbogacona wieloma starannie dobranymi, drobiazgowo i z pietyzmem opisanymi ilustracjami i zdjęciami. Zawiera bardzo ciekawe fotografie i obrazy wielu innych pamiątek, które nie spleonęły wraz z domami i całym

dobytkiem w czasie kataklizmu dziejowego. Niektóre z nich zostały uratowane wręcz cudem. Mają wartość rodzinnych i narodowych relikwii. Podnoszą zdecydowanie nie tylko wizualną stronę pracy, ale przede wszystkim dokumentują omawiane zdarzenia, pogłębiają i poszerzają narracyjną zawartość książki.

Jestem przekonany, że z książki Heleny Popek *Błogosławiona wieś* skorzystają nie tylko miłośnicy Ziemi Wołyńskiej czy też badacze zajmujący się folklorem oraz całym bogactwem życia wsi. Wiele mogą zyskać z tego dzieła przede wszystkim historycy badający skomplikowane dzieje relacji polsko-ukraińskich w XX stuleciu i obecnie.

ks. Edward Walewander

Helena Popek, *«Błogosławiona wieś»*, oprac. i redakcja Leon Popek, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa, i Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2020, ss. 360, ilustracje i aneks.



Uroczystości pogrzebowe na cmentarzu w Ostrówkach (2015 r.)

Fot. Przystanek Historia

Napisane pozostaje - Scripta manent - Написане залишається

NÓZ W PLECY W ŁUCKU

Polska dyplomacja opiera się albo na zupełnej amatorszczyźnie, albo też uprawia świadomy sabotaż polskich interesów. Do takiego wniosku można dojść, patrząc na to, co niedawno wydarzyło się w Łucku. „Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku wbija swym patronatem nam nóż w plecy” – napisali przedstawiciele katolików z Wołynia.

2 grudnia 1991 roku Polska jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległość Ukrainy. Polscy politycy – zarówno PiS, jak totalnej opozycji – lubią przypominać ten fakt, nazywając Ukrainę przy każdej okazji naszym strategicznym partnerem. Niestety – chęć partnerstwa pozostaje raczej nieodwzajemniona. Władze samorządowe wielu miast tzw. zachodniej Ukrainy dyskryminują mniejszość polską oraz Kościół Rzymsko-Katolicki, do którego należą mieszkający na Ukrainie Polacy.

Jaskrawym objawem takiej dyskryminacji jest odmowa zwrotu kościołów, które zostały odebrane katolikom w czasach sowieckich. Najlepiej widać to we Lwowie, gdzie w czasie 29 lat niepodległości Ukrainy nie zwrócono Kościołowi Rzymsko-Katolickiemu ani jednej świątyni! Od początku lat 90. ubiegłego wieku lwowscy katolicy zabiegają o zwrot kościoła św. Marii Magdaleny, zamienionego w miejską salę koncertów organowych. Jedyne co udało im się uzyskać, to możliwość odprawiania tam codziennych mszy.

W ostatnich dniach parafia św. Marii Magdaleny poinformowała jednak w mediach społecznościowych, że znowu doszło do dyskryminacji wspólnoty parafialnej. Na polecenie dyrekcji sali organowej wszystkie ławki zsunięto tak, że nie sposób w nich usiąść, pozostawiając jedynie krze-



sla ustawione tyłem do ołtarza. Jest to jedna z wielu złośliwości i afrontów, z jakimi spotykają się parafianie Marii Magdaleny we Lwowie. Mówił o tym niedawno jej proboszcz o. **Dawid Omieciński** OMI w wywiadzie dla portalu archidiecezji lwowskiej: – 27 listopada w trakcie porannej Mszy pracownik sali organowej rozebrał się do pasa i nosił jakieś rzeczy dla remontu. Żadnego szacunku dla modlących się, całkowita zniewaga Liturgii. Zniknął dopiero po interwencji parafianina. To jeden z wielu podobnych incydentów, o jakim opowiada proboszcz.. Niedawno w kościele Marii Magdaleny pracownicy sali organowej urządzili przyjęcie, na którym podawany był alkohol, a dwa lata temu udostępniono kościół na zajęcia jogi.

Podobny kłopot mają katolicy w Równym na Wołyniu, gdzie bezskutecznie zabiegają o zwrot kościoła parafialnego pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny. To neogotycka świątynia zbudowana w połowie XIX wieku. Po wojnie przez kilkanaście lat je proboszczem

był legendarny „Włóczęga Boży” o. Serafin Kaszuba, który mimo szkykan prowadził działalność duszpasterską na terenie Związku Sowieckiego. Jednak w 1958 roku komunistyczne władze wydały nakaz zamknięcia kościoła. Zburzone zostały dwie jego wieże, a świątynię zamieniono w filharmonię, która funkcjonuje tam do dziś. Mimo starań władze Równego nie chcą zwrócić katolikom kościoła – obecnie w mieście tym istnieje tylko jedna parafia w kościele św. Piotra i Pawła (dawnym garnizonowym). [Ator artykułu nie wie o istnieniu drugiej parafii pw. św. Jana Pawła II – przyp. «WzW».]

Filharmonia w Równem na początku grudnia zorganizowała w budynku dawnego kościoła festiwal jazzowy. Patronatu tej imprezie udzielił m.in.... Konsulat Generalny RP w Łucku. Sprawę nagłośnili **Jarosław Kowalczuk** – prezes organizacji Centrum Kulturalno-Edukacyjne im. Tomasza Oskara Sosnowskiego oraz ksiądz **Vitold-Yosif Kovaliv**, redaktor naczelny czasopisma „Wołanie z Wołynia”. 2 grudnia opublikowali oni list otwarty do Konsula Generalnego RP w Łucku **Sławomira Misiaka**. Napisali w nim:

„W dniach 4-6 grudnia w dawnym naszym kościele pw. Narodzenia Matki Bożej i św. Antoniego w Równem ma się odbyć Międzynarodowy Festiwal Współczesnej Muzyki Improwizacyjnej «JAZZ BEZ». Obejmując patronat nad tą imprezą Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku uwiarygadnia działania sił zła walczących z Kościołem Katolickim i niszczących zabytki i pamiątki polskości. Jazz w kościele – takiej hańby jeszcze nie było w Równem. Powtarza się sytuacja jaka była kilkanaście lat temu z wystawą małą karłowatych (ich wystawę urządzone właśnie w zamienionym na filharmonię kościele – przypis MH). Przykra jest postawa Konsulatu Głównego Rzeczypospolitej

Polskiej w Łucku. Zwracają się do nas i dzwonią katolicy z Równego z oburzeniem. (...) Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku zamiast wspomóc w wieloletnich staraniach o zwrot świątyni naszych wiernych w Łucku, Kurii Diecezjalnej w Łucku i samego ordynariusza diecezji Łuckiej. J.E. Ks. Biskupa Witalska Skomarowskiego i jego delegata w tej sprawie Ojca Tadeusza Fostakowskiego OFM, wbija swym patronatem nam nóż w plecy. Jeszcze raz prosimy o interwencję i odstąpienie od patronatu nad bezczeszczeniem naszego kościoła”.

Jeden z sygnatariuszy listu jest bardzo znaną i szanowaną osobą. Ksiądz Vitold-Yosif Kovaliv (Вітольд-Йосиф Ковалів) to wieloletni duszpasterz i proboszcz Wołynia. Jest... góralek urodzonym w Zakopanem, święcenia kapłańskie otrzymał w 1992 roku w Krakowie. I zaraz po wyświęceniu wyjechał pracować na Ukrainie. Nazywa się Witold Józef Kowalów, brzmienie swojego nazwiska swoje zmienił na ukraińskie, aby w ten sposób symbolicznie pokazać, że kościół katolicki na Wołyniu chce łączyć Polaków i Ukraińców. Kowaliv najpierw był wikariuszem parafii pw. świętych Apostołów Piotra i Pawła w Równym, a potem przez wiele lat administratorem oraz proboszczem parafii w Ostrogu i Zdołbunowie. Pracując na terenie Ukrainy założył pismo „Wołanie z Wołynia” oraz wydawnictwo, które opublikowało kilkadziesiąt książek. Otrzymał wiele polskich odznaczeń, w tym Medal Pro Memoria Urzędu do spraw Komendantów i Osób Represjonowanych w Warszawie.

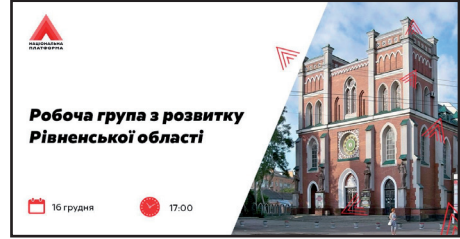
Na Facebooku na list krótko odpowiedział Konsulat Generalny RP w Łucku: – „Szanowni Państwo. Jestem tu stosunkowo krótko, nie wszystko wiem. Dowiedziałem się jednak, że od lat 50-tych ubiegłego stulecia formalnie jest to sala

organowa filharmonii w Równem”. Ten pierwsze dwa zdania odpowiedzi Konsulatu kompromitują – nie tylko Konsula Generalnego, ale także jego przełożonych z Warszawy i całą polską dyplomację. Dowiadujemy się bowiem, że na placówce konsularne Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP wysyła osoby, które „nie wszystko wiedzą” o mieście, w którym będą reprezentować Rzeczpospolitą Polską. A właściwie nie wiedzą rzeczy podstawowych – że rzymscy katolicy od lat zabiegają o zwrot zagrabionej im świątyni. Więc jeśli Konsulat RP nie chce ich w tym wspierać, to przynajmniej nie powinien przeszkadzać, udzielając patronatu wydarzeniom, akcentującym obecne przeznaczenie gmachu kościoła.

A swoją drogą: ciekawe o czym jeszcze nie wie Konsul Generalny RP w Łucku, bo jest tam stosunkowo krótko? Może kolejną imprezą, jakiej udzieli patronatu okaże się jakiś festiwal imienia Dmytro Klacziwskiego? (to pułkownik UPA, dowódca UPA Północ działającej w latach 1943-45 na Wołyniu i Polesiu).

Jak widać polska dyplomacja uznała, że jedyną kompetencją, jaką powinni posiadać nasi konsulowie na Ukrainie to wiedza o strategicznym partnerstwie. Na koniec inny przykład. We Lwowie odbywały się w październiku uroczystości z okazji 120-lecia otwarcia tamtejszego Teatru Wielkiego, w którym obecnie ma siedzibę Opera Lwowska. Gmach zaprojektował Zygmunt Gorgolewski, monumentalną kurtynę namalował Henryk Siemiradzki, na otwarciu obecni byli m.in. Henryk Sienkiewicz oraz Ignacy Jan Paderewski.

W czasie tegorocznego jubileuszu 120-lecia polskie wątki niemal zupełnie „wygumkowano”, czyli usunięto lub zmarginalizowano i pominięto. Podczas galowego jubileuszowego koncertu wykonano muzykę kompozytora... niemieckie-



Bez odnowienia sprawiedliwości, niema rozwoju! Należy zwrócić kościół wiernym! Res clamat ad dominum!

go. Konkretnie – fragment „Tanhausera” Ryszarda Wagnera. Wszystko dlatego, że któryś z ukraińskich archiwistów wynalazł informację, że właśnie kompozycję Wagnera zagrano w roku 1897, kiedy wmurowano kamień węgielny pod przyszły Teatr Wielki. Niestety, wszystko wekslowali polscy dyplomaci. Na koncercie galowym z okazji 120-lecia otwarcia budynku Teatru Wielkiego pojawiła się z wiązką kwiatów konsul generalna RP we Lwowie i wygłosiła kilka gratulacyjnych banałów. A przecież Pani Konsul mogła się wypowiedzieć merytorycznie, wspomnieć o znaczeniu tej sceny teatralnej dla teatru polskiego i europejskiego, o Schillerze, Horzycy, o wielkich kreacjach modernistycznych, ibsenowskich, o Pawlikowskim oraz wspomnieć nazwiska innych polskich twórców – i w ten sposób podkreślić polskie wątki w historii lwowskiego teatru.

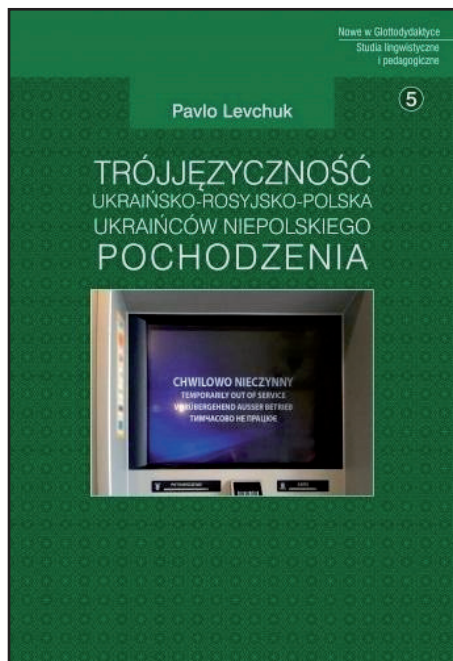
Niestety, po raz kolejny polska dyplomacja pokazała, że zamiast robić polską dyplomację właśnie woli ważne sprawy „odfajkować” na poziomie szkolnej akademii, ewentualnie na podkreślaniu polskich wątków bynajmniej jej nie zależy.

Marcin Halaś

«Warszawska Gazeta»
z 11-17 grudnia 2020 r., s. 20.

Wśród książek - Среди книжок

TRÓJJĘZYCZNOŚĆ UKRAIŃSKO-ROSYJSKO-POLSKA UKRAIŃCÓW NIEPOLSKIEGO POCHODZENIA



Wydawać by się mogło, że masowe kontakty językowe polsko-ukraińskie raczej pozostaną tylko w historii językoznawstwa, co sugerowała prof. Zofia Kurzowa, opisując bilingwizm czynny bierny w Galicji Wschodniej do 1945 roku. Jednak po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, polszczyzna zaczęła odradzać się, pierwotnie jako język Polaków, którzy pozostali na Kresach, potem jako język naukowców, którzy mieli plany współpracy z Polską. Obecnie język polski prawie nie istnieje w formie języka etnicznego, jednak ma nową pozycję, mianowicie pozycję języka obcego, który

cieszy się ogromnym zainteresowaniem wśród uczniów szkół podstawowych, studentów uczelni wyższych oraz słuchaczy kursów językowych na całej Ukrainie.

Natomiast w Polsce coraz częściej można usłyszeć zarówno język ukraiński, jak i język rosyjski, co więcej, staje się to rutyną dnia codziennego, zarówno w dużych miastach, jak i małych miasteczkach. Osoby przyjeżdżające do Polski najczęściej nie mają polskiego pochodzenia, zatem nie jest to powrót do swoich korzeni, ale chęć utrzymania swoich rodzin lub osiedlenia się na stałe.

Opisywana sytuacja stała się przedmiotem badań naukowych dr Pawła Lewczuka, szczególnie sytuacja językowa, która wcześniej nie była opisywana na tak szeroką skalę. W badaniach ankietowych wzięło udział 1 160 respondentów, dodatkowo autor zamieścił 13 biografii językowych. Do osób niepolskiego pochodzenia zaliczone też osoby na „pograniczu”, czyli takie, które deklarują polskie pochodzenie swoich pradiadków, którzy rzadko biorą udział w wychowaniu prawnuków.

Opisując sytuację językową na Ukrainie po 1991 roku autor zwraca uwagę na obecność polszczyzny zarówno w Kościele katolickim jak i w edukacji szkolnej. Moim zdaniem, bardzo ważnym jest stwierdzenie, że parafie katolickie pozostają ważnym miejscem poznawania i nauczania języka polskiego, choć coraz częściej parafie stają się wielojęzyczne.

W części badawczej można znaleźć dosyć ciekawe spostrzeżenia dotyczące funkcjonowania polszczyzny w życiu

osób niepolskiego pochodzenia, mieszkających zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie. W porównaniu do wcześniejszych badań recenzowana monografia skupia uwagę na młodych osobach, które już lepiej czy gorzej znają język polski, i najprawdopodobniej będą posługiwać się polszczyzną przez całe życie.

Wśród biografii językowych na szczególną uwagę zasługuje przypadek chłopca, który swoją miłość do polszczyzny zawdzięcza Kościołowi, ponieważ tam pierwszy raz usłyszał język polski, tam zaczął uczyć się języka polskiego. Sam o języku polskim mówi tak:

«Pierwsze, język polski jest językiem którego nauczyłem się w kościele. Ma znaczenie „sakralne” w moim życiu, jest „pewnym sposobem modlitwy”. Przypomina mi o tych wydarzeniach, które zawsze pozostaną w moim sercu: pierwsza komunia, bierzmowanie, przyjęcie do grona ministrantów, kazania wikariusza z mojej parafii.

Drugie, język polski jest językiem bratniego narodu, który patrzy wraz z nami w jedną stronę i sprzyja integracji Ukrainy z Unią Europejską. Zatem wywołuje u mnie skojarzenia europejskości, która jest dość bliska Ukrainie.

Trzecie, bardzo podoba mi się warstwa brzmieniowa języka polskiego, są poszczególne dźwięki, które wydają mi się bardzo melodyjne i niepowtarzalne. Jestem dumny z tego, że oprócz rosyjskiego i ukraińskiego znam jeszcze i język polski. Staję się przez to bogatszy w sposób duchowy. Uważam, że język polski na Ukrainie musi się rozwijać, ponieważ jest bliskim sercu dużej ilości Ukraińców». (s. 234)

Historię przypadku D oraz jego dalsze losy można znaleźć w książce.

Poza wartością naukową praca ma także zastosowania praktyczne. W mojej pra-



**Dr Pawło Levchuk (Paweł Lewczuk),
naukowiec rodem z Równego**

Fot. Archiwum

cy, jako asystentki kulturowej, w szkole, dostarcza informacji na temat uczenia się języka polskiego przez Ukraińców, wykorzystywanych podręczników, materiałów. Autor przedstawia historie rodzin, które codziennie spotykam w swojej pracy i dostarcza ważnych informacji oraz strategii działań, które są cenną wskazówką w zadaniach integracji Ukraińców w polskim społeczeństwie.

Jana Demiańczuk



Odeszli - Відійшли

90 LAT, TO SYGNAŁ BY «ZWIJAĆ KRAM». ZMARŁ KS. BRONISŁAW CHARYTON

W piątek, 13 listopada 2020 r., w domu księży emerytów w Siedlcach zmarł ks. Bronisław Charyton. W latach 1999-2004 pracował on w Łuczyńcu w diecezji kamieniecko-podolskiej.

Ks. Bronisław Charyton urodził się 10 stycznia 1927 r. we wsi Golewice (gm. Boćki, województwo białostockie). Szkołę średnią ukończył w Siemiatyczach. Pracę duszpasterską rozpoczął 30 kwietnia 1952 r. jako wikariusz w parafii Jabłonna. Jednocześnie, od 15 lipca tegoż roku, był wikariuszem w parafii Gródek. Kolejne wikariaty to: parafia w Parczewie (od 12 sierpnia 1954 r.) i Ceranowie (od 20 sierpnia 1955 r.). Administratorem parafii Radcze został 15 września 1956 r. Od 21 sierpnia 1967 r. był proboszczem parafii w Róźance. W 1977 r. został zwolniony z obowiązków proboszcza tejże parafii i mianowany rektorem nowo utworzonej filii duszpasterskiej w Lacku (był twórcą parafii i budowniczym kościoła). Następną placówką były Czołomyje (od 3 października 1978 r. do 1 sierpnia 1980 r.). W 1980 r. został przeniesiony do parafii w Drelowie; był jej proboszczem do 3 września 1986 r. W latach 1986-1999 był proboszczem parafii w Kościeniewiczach. W 1993 r. został kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej w Siedlcach.

W roku 1999, ze względu na pogarszający się stan słuchu, przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Siedlcach w domu księży emerytów, gdzie spędził kilka miesięcy. Tego samego roku wyjechał do diecezji kamieniecko-podolskiej na Ukrainie, by odwiedzić księży tam pracujących. Na prośbę księdza biskupa, spędził tam jednak pięć lat, jako proboszcz parafii w Łuczyńcu.

«Biskup Olszański prosił go, żeby obsługiwał parafię w Łuczyńcu. Ks. Charyton został jej proboszczem. Parafia ma murowany kościół. Oprócz Łuczyńca obsługuje ks. Cha-

ryton jeszcze dwie małe wspólnoty w Horaju i Kociurzanach. Nie ma tam kościołów ani kaplic. Msze św. odprawia w tych miejscowościach w wiejskich chatach. Dojeżdża tam zawsze rowerem. Podobnie jak w Polsce, prowadzi tam bardzo skromny styl życia, co budzi powszechny podziw wśród miejscowej ludności» – czytamy na stronie diecezji siedleckiej.

Następnie wrócił do domu księży emerytów w Siedlcach i po czterech latach mieszkania w nim, w 2008 r. przybył do dekanatu koluszkowskiego. Wtedy też zamieszkał w Domu Formacyjnym prowadzonym przez Stowarzyszenie Formacji Chrześcijańskiej «Sercówka» w Wierzchach (parafia Świny). Posługiwał w koluszkowskiej parafii Niepokalanego Poczęcia NMP, skąd znany jest szczególnie, oprócz koncelebrowania Mszy św., przez swoją czynną posługę w konfesjonale. W ten sam sposób służył w parafii Św. Jana Chrzciciela w Świnach.

Dnia 15 stycznia 2017 r. w Świnach odbyły się uroczyste obchody jego 90. urodzin oraz 65. rocznicy święceń kapłańskich. Wspólnie z ks. Bronisławem, jego jubileusz pragnęli świętować wyjątkowi goście: zaprzyjaźnieni kapłani, jego rodzina oraz liczni parafianie ze Świn oraz z Koluszek. Wśród zaproszonych gości był o. Leon Knabit OSB, który z ks. Bronisławem uczył się w tym samym seminarium duchownym w Siedlcach, gdzie narodziła się przyjaźń pomiędzy tymi dwoma kapłanami. Ojciec Leon w czasie uroczystej Mszy św. wygłosił kazanie, w którym nie obyło się bez niezwykle cennych uwag i spostrzeżeń znamienitego gościa.

Ks. Bronisław, dziękując wszystkim za życzenia, powiedział, że 90 lat to sygnał by „zwijać kram” i odejść do Siedlec. I tak uczynił. Po kilku latach odszedł do domu Ojca.

Grażyna Życka